WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 17. Kraków, dnia 4. listopada. 1900.

ŚWIĘTO MOGIŁ.

Więc znowu wśród posępnego szmeru liści opadających z drzew, które wiatr zimny rozwiewa daleko; wśród szeptu nagich gałęzi, które płaczą kroplami rzęsistych łez, wśród tych opon szarych, mętnych, ponurych, któremi niebo swe ciało owiewa; wśród tej pustki, która się rozsiadła po obszarach pól i niw — nadeszło ciche, żałobne, pełne tęsknoty i bólu święto — święto mogił.

Z miast ludnych i wspaniałych, z wiosek cichych i ubogich, z gmachów pełnych przepychu, z nędznych izdebek na poddaszu, rozpoczyna iść, płynąć, przelewać się wielka fala tych, którzy wśród mogił mają szczątki drogich im osób, którym dzień taki, opada głazem ciężkich wspomnień na duszę i kirem żałoby przysłania świat cały.

Mogiły teraz stają przed nami niby jakieś ostatnie zbiory i plony, niby jakieś nowe zagony i dary, któremi ziemia żyjących obdarzy, a które po całorocznych trudach i mozołach rolnika, poety, rzemieślnika, magnata, kupca, żołnierza, mędrca i prostaka wskazują gdzie spoczynek nagroda i... koniec!...

Wiosenne śpiewy, orania i zasiewy; letnie upały, wysiłki i umęczenia; jesienne zbiory, plony i obliczenia, znikły bez śladu; otwierają się wrota cmentarzysk i mogiły mówić zaczynają...

Kto rozumie ich mowę?...

Setki jednak ciał, duszy, ogromne szeregi przyszły do nich i niby patrzą, niby tęsknią, szepcą pacierze, łzami oczy mają zamglone, a przecież nie rozumieją tego co mogiły mówią i nie widzą tego, co bije od nich łuną światła i potęgą majestatu nadziemskiego zdumiewa...

A święto mogił woła do nas nie tym płaczem żałosnym, który rozlega się z nad tej lub owej mogiły, lecz tą ciszą grobów, które zamknęły w sobie niezliczone szeregi pokoleń... A święto mogił mówi nie tym gwarem, hałasem i szumem, który my z sobą wnosimy jako naszą nicość i pył, lecz tą głębią tajemnicy, która nigdy nie zostanie na ziemi wyjawiona, ani odsłoniętą... lecz tem milczeniem śmierci, którego nikt z żyjących zamącić, ani do mowy pobudzić nie zdoła...

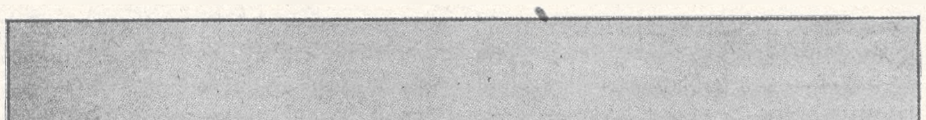
Idziemy na mogiły, dlatego, bo idą wszyscy. Zapalamy światła, bo wszyscy tak robią, niesiemy wieńce i kwiaty, wspaniałe okazy pychy ziemskiej, która chce koniecznie stroić się i zachwycać zewnętrzną pięknością, bo to modne i trudno się od tego wyłamać!

Nad mogiłami rozściela się ciemna, ponura, mgłami upowita noc. Krzyże wśród świateł sterczą jak las zeschły i umarły — mogiły uśmiechają się zielenią, kwiatami, gdzieniegdzie nawet papierowemi ozdobami, a tłum wali się, idzie, trąca, popycha, szemrze, mówi, płacze i zdaje mu się, że czci tych, których w grobach nie ma, bo duchy już daleko, bardzo daleko odpłynęły od tej przystani...

Po co przychodzić tu? Was woła cień matki. Tej matki, która odeszła od was bardzo dawno, a wy zapomnieliście o jej naukach, o jej upomnieniach, o tem, co wam kazała cześć i kochać i poszliście kędyś inną drogą jak ona — i ukochaliście co innego jak ona kochała!... O!... nie patrzcie, czyli jej grób ustrojony modnie zwraca uwagę przechodniów, lecz zasłońcie oczy wasze, pochylcie czoła i wejdźcie w siebie...

Was przywiodło wspomnienie dziecięcia, za którem tyle łez przelaliście... Zgasło!... Wspaniały pomnik jaki mu postawiliście, ma trwać długo, bardzo długo, a wasze łzy zawsze serdeczne i pełne żalu... Stoicie nad mogiłą?... Nie zazdroście mu nieba!... Ale rozważcie z czem wy przyjdziecie tu kiedyś cisi i martwi — tu do tego grobowca, by ułożyć ciało na śmierci panowanie, a duchem pójść tam, gdzie Bóg powoła?...

Proces Hilsnera w Pisku.



Agnieszka Hruzówna, zamordowana w brzozowym lesie koło Polnej.

Do was śmierć miała raz w rok przemawiać, wy pełni wiedzy, światła, postępu, którzy bijecie nowe drogi przed tłumem ludności, którzy stawiacie nowe drogowskazy miast dawnych krzyżów — dziś nic nie znaczących... Pocoście przyszli?... Kto wie — może jaka wdowa najuboższa pochylona na mogiłce bez krzyża, przypomni wam, jak się poczyna pacierz?... Może jaki krzyż z rozpiętym Chrystusem zatrzyma wasz wzrok i — wspomnicie o tem, że was uczono dziećmi czynić znak krzyża na czole...

Dziewczę sieroce — poco ta rozpacz? Tulisz tę bryłę mokrej, pełnej piasku i gliny ziemi do siebie, usta do niej przyciskasz, łzami ją zmywasz; czyż ona ci cząstką najdroższej istoty?... Mogiła — zamknęła wtedy dawno trumnę tej, którą wyrwano z objęć twych... — Nie tu się szuka tych, który pomarli, nie tu!... Oni dalej i dalej — a my przechodząc wśród mogił nie szukajmy ich, lecz siebie!!

Święto mogił, to dla nas wielka, straszna noc rozwagi, obliczenia, sądu — czynu!... Te krzyże, które tu sterczą, czernią się, bieleją, pochylają, wszak one nie dla zmarłych, ale dla nas — żyjących wzniesione..., my mamy je liczyć — my mamy czytać na nich jak na wielkim alfabecie życia, mamy zrozumieć, iż są one zawsze godłem jednej i tej samej wartości jednostki, bez względu, czy z marmuru kute, lub z drzewa ciosane, czy mają napis długi i z wieloma tytułami, lub mówią tylko imię chrześcianina...

Przeszedł rok i kończy się świętem mogił.

Jak przeraża ta myśl pełna trwogi, która zda się nad każdym cmentarzyskiem bije w skrzydła i powtarza te same słowa: „Śmierć kruszy ciała — lecz wieczność przybliża“.

. . . .

Przy grobie poległych w walce za wolność, odzywa się śpiew rodaków. Smutna ta godzina oddana czci męczenników; zawsze łzę wzruszenia z pod powieki wyciśnie... Poważny śpiew bije o konary drzew posępnych, jak owe skrzydła ptasząt o struny lutni, która długo milczy i tylko jękiem gromów jest poruszana. Z grobu płynącego światłami podnosi się słup białej mgły, a łamany wiatrem, odgłosem śpiewu i ciemną szatą nocy — przemienia się w ducha przeszłości, dla której na ziemi wśród mogił jest królowanie...

Polegli!... szepce każden atom w około. Padli w ofierze dla idei, mówi szmer echa odbijającego się o sklepienie nieba...

A myśl — przypomina rzewną skargę tułacza:

„A kiedy w cień naszych wejdziecie cmentarzy,
„Gdzie zbiegły się róże spłonioną gromadą,
„I świerki wysmukłe stanęły na straży:
„Gdzie brzóz się warkocze na mogiłach kładą,
„A groby zielenią majone wciąż świeżą,
„Pomyślcie: — Nie wszyscy tu leżą!...

Nie wszyscy! To prawda... Jaki ten cmentarz wielki, daleki! Jak zasiany gęsto krzyżami, okopany mogiłami; wycinany imionami zmarłych! Przytulił i przygarnął tu wielu, bardzo wielu... A jednak — jak mało na nim!...

Widzimy setki mogił — a wszystkie one razem nie wycisną tej łzy z pod powieki, którą byśmy zapłakali mając tu drogą nam, a kędyś daleko usypaną mogiłę ojca, matki, siostry... Nas tu przygnał wicher losu, wypadków, zdarzeń, a mogiły zostały w oddali i w dniu święta mogił, myślą za nimi gonimy.. Widzimy tyle pomników wspaniałych i pięknych, a jednak uczucie nasze pyta — gdzie tylu, tylu wygnańców, tułaczów, męczenników za wolność i wiarę, którzy padli jak kłosy na łanie po gradobiciu i ani źdźbła z nich nie zdołano uratować?

Tu śpią ci, którzy żyli wśród nas spoczęli, tych mogiły kwiatami stroimy, za tych szeptamy pacierze pełne smutku i tęsknoty. A tamci?... Ci, których uniosła burza nieszczęść na dalekie przestworza obczyzny i tułactwa? Ci, których wygnała niedola przykuci do taczek sybirskich i kopalń bezdennie strasznych, którzy może w ostatnim oddechu jeszcze mieli westchnienie tęsknoty za ojczystą ziemią?...

Kto ich wspomni w taką noc cichą, ciemną, pełną czaru i smutku, żałoby i wiary?

Gdzie jest naród, który tyle rozsiał sierocych mogił po obcych stronach, krain zimnych, dalekich, cudzych i nieznanych? Gdzie lud, któryby w taką noc mogił musiał tak ogromnie daleko myśl swą posyłać, aby objąć wspomnieniem modlitwy bohaterów, rycerzy i męczenników, którym ziemia rodzinna nie dała mogiły, ani niebo ojczyste deszczem rosy nie zapłakało nad niemi?...

Krasiński, Słowacki, Lelewel, Garczyński, Witwicki, Brodziński, Niemcewicz, Zaleski, Hoffmanowa i tylu innych — gdzie ich mogiły? Kto tam stanie w taką noc modłów cichych za zmarłych i kto im rzuci liść, jeden bodaj listek z polskiej brzozy lub lipy?

To są imiona ludzi zapisanych w księgach literatury, lub też na kartach dziejów lat nie bardzo dawnych.

Lecz gdzież imiona tych, których pochłonęła Praga, Maciejowice, Nerczyńsk, Kamczatka, wojny pod Napoleonem, krwawe walki z Szwedem, z czernią Mongolską, okropne walki z dziczą Tatarską i Krzyżacką? A gdzie imiona tych ubogich, nieznanych, którzy wydziedziczeni nędzą, lichwą, nieszczęściem poszli w światy po kawałek chleba i nie wrócili do Ojczyzny, bo ich gorączka, nędza i tęsknota pożarła?...

Módlmy się!... Jakie te krzyże ciche, czarne, milczące!... Jaki tam szum drzew bezlistnych duszny, tęskny, ponury!... Te światła, które z początku płonęły jasno, a teraz drgającym błyskiem ledwie, że znak istnienia dają — czy to alegorja naszej sławy, szczęścia, życia i marzeń?

Bogusław.

Teatr ludowy w Galicyi.

(Dokończenie.)

Pozostaje teraz do stosownego ominięcia jeden, nadzwyczaj ważny szkopuł, a mianowicie należyte ułożenie repertuaru dla scen ludowych.

Zewsząd słyszę, że teatr ludowy, w razie zebrania odpowiednich środków, nie będzie mógł należycie funkcyonować, dla braku stosownego repertuaru. Zarzut ten nie jest pozbawiony w pewnej mierze, słuszności gdyż ci, co go wytaczają, stoją przeważnie na tem stanowisku, iż scena ludowa musi dawać codziennie przedstawienia. W tym razie musiałoby zbraknąć repertuaru nawet takiemu teatrowi dla ludu jak niemiecki, który posiada przecież olbrzymi zapas dzieł, mogących zająć tameczną, inteligentniejszą od naszej publiczność ludową, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę nieliczne stosunkowo zaludnienie miejscowości, w których się odbywały u nas przedstawienia, za czem idzie, że publiczność nie może się często zmieniać, a z tego powodu repertuar musiałby być bardzo często urozmaicany.

Ale zarzut, o którym mowa, jest jeszcze z innego względu dość słabo umotywowanym. Oto zakorzeniło się u nas mniemanie, że dla ludu kwalifikują się jedynie tak zw. ludowe sztuki, o treści zaczerpniętej z życia odnośnych warstw społecznych, o formie tak naiwnej, aby ją dziecięcy, zdaniem ogółu, umysł szerokich mas łatwo mógł przejrzeć.

Szczupłość ram, do których muszę ograniczyć niniejszy szkic, nie pozwala mi na tak dosadne rozprawienie się z tem twierdzeniem, jakby mi to było pożądane; to też zaznaczę jedynie najważniejszy, mojem zdaniem, moment całej kwestyi. Streszcza się on w tem, że według mnie jeżeli ma być mowa o kształceniu mas za pomocą widowisk teatralnych, to nie repertuar powinien stosować się do publiczności, lecz ona do repertuaru, który musi iść zawsze przed jej gustami i upodobaniem o dobry krok naprzód. Inaczej wszelki postęp, wszelkie podnoszenie umysłowego poziomu widzów pozostanie czczą iluzyą. Od tej reguły można wprawdzie odstąpić ale tylko wtedy, gdy chodzi o przyciągnięcie nieinteligentnych, obcych sztuce teatralnej tłumów ku widowni, czyli, że przy rozstrzyganiu tej kwestyi, znowu muszą być utworzone trzy grupy przyszłych gości teatru ludowego: ludność wielkomiejska, małomiejska i wiejska.

Co do pierwszej, jest ona, jak już wyżej wspomniałem, stosunkowo najbardziej kulturalną, to też okres tak zw. sztuk ludowych winien być dla niej jak najkrótszym, bezpośrednio zaś po nim mają następować dobre, poważniejsze pod względem wartości literackiej dzieła naszego dramatu i komedyi, po których mogłyby już przyjść arcytwory nietylko naszej, lecz i wszechświatowej literatury.

Liczne doświadczenia, czynione w innych krajach, dozwalają na postawienie pewnika, którego treścią jest to, iż lud niechętnie patrzy na postaci sceniczne, w których może dojrzeć choć cień karykatury swego działania, sposobu wyrażania się, lub w ogóle swojej istoty. Takie sztuki, jak „Emigracya chłopska“ „Wspólne winy“ (Galasiewicza) i cały szereg tak zw. sztuk ludowych, nie mogą się spotkać z uznaniem ludu; tak samo jak dramaty z życia robotniczego o zbyt wyraźnie moralizującej tendencyi i szablonowych postaciach, wywołują skutek wprost przeciwny od tego, jaki sobie autor za cel postawił. Lud jest znacznie subtelniejszy, niż my, znający go tylko zdaleka, możemy sobie wyobrażać, a morał, wszyty do widowiska białą nicią, napoi go raczej nieufnością aniżeli przyciągnie do siebie. Droga do umoralnienia tłumów prowadzi przez kształcenie uczucia dla wszystkiego, co piękne i szlachetne, nie przez wkładanie im łopatą do głowy morałów, lub przesadne karykaturalne przedstawianie występków i zbrodni w bengalskiem oświetleniu tej lub owej tendencyi. Dajmy ludowi pokarm, rozbudzający w nim fantazyę, postawmy mu przed oczy wielkich bohaterów o szczytnych dążeniach, niech cnota zwycięża, a zbrodnia otrzymuje zasłużoną karę, ale strzeżmy się narzucać tłumom jakiekolwiek tendencye na zbyt realnym gruncie, bo wtedy fantazya przestanie działać, a zmysł krytyczny, uczepiwszy się tej lub owej śmiesznostki, lub przesady w zobrazowaniu, zburzy odrazu całą pracę autora. Ustawne przypominanie tłumom o trawiących je zagadnieniach społecznych nawet w sztukach nibyto umoralniających, może wywołać w nich tylko chęć przekonania się, jak też to, co widzieli na scenie, przedstawia się w życiu praktycznem, a częstokroć gruba, ciesielska robota danego widowiska, wywołując powstanie choćby najmniejszych wątpliwości, da różnym agitatorom sposobność do podkopywania w ludzie ufności ku tym którzy go w niezgrabny sposób pragną moralizować. Nie roztrząsanie zagadnień wypływających z życia potocznego, lecz odrywanie widzów od trosk codziennego żywota, ma być zadaniem teatru ludowego. Uszlachetniajmy ich dusze arcydziełami mistrzów, niech rozsmakują się w sztuce a morał, tkwiący nieraz głęboko na dnie jakiegoś utworu, wyjdzie sam na powierzchnię i prędzej trafi im do serca, gdy będzie podany w delikatnej, nie rażący swoją, że się tak wyrażę nahalnością i natarczywością formie. Przez uczucie i fantazyę do rozumu, oto droga, po której idąc, — dojdziemy do celu.

Wyciągając praktyczny sens z powyższych ogólnych uwag ośmielę się twierdzić, iż lud wielko- i małomiejski winien być karmiony zrazu takiemi utworami jak „Obrona Częstochowy“, „Kościuszko pod Racławicami“, „Hulaj dusza“ i t. p. z ostrożnem, bardzo ostrożnem stosowaniem sztuk o treści społecznej, gdy zaś tylko można będzie spostrzedz jakie takie zainteresowanie się teatrem, natychmiast należy dawać rzeczy w rodzaju „Dziadów“ (scena w więzieniu i u Nowosilcowa), „Na poddaszu“, „Dramatu jednej nocy“, „Zemsty“, „Odludków i poety“, „Dożywocia“, „Grochowego wieńca“ i „Nikt mnie nie zna“. Nie należy też zapominać o takich sztukach, jak „Gęsi i gąski“, „Dom otwarty“, „Chata za wsią“, „Z dobrego serca“, „Zaczarowane koło“, „Popychadło“, „Szklanna góra“ i t. p., które mogłyby bardzo dobrze przeplatać utwory o poważnej treści. Tak przygotowany lud będzie można już karmić nawet Słowackim i Szekspirem. Każda rzecz trudniejsza do zrozumienia, winna być poprzedzona krótką konferencyą, w której by można podać nietylko treść mającego się za chwilę odegrać utworu, lecz nadto krótki pogląd na rodzaj literatury teatralnej, do którego on należy i przy dziełach mistrzów, ważniejsze daty z życia autora. Potrzeba i pożytek takich wykładów leżą chyba jak na dłoni.

Z największymi trudnościami w wyborze sztuk spotkają ci, którym przypadnie w udziale układanie repertuaru na przedstawienia dla ludu wiejskiego. Oprócz „Kościuszki“, „Karpackich górali“, i „Obrony Częstochowy“ a może „Królowej przedmieścia“, trudno rzeczywiście wynaleść utwory, które mogłyby odpowiedzieć wyżej postawionym warunkom, gdyż inne rzeczy są po największej części bardzo naiwne lub przestarzałe. Cała nadzieja w tem, że teatr ludowy może obudzić do życia jakieś nowe dotąd nieuświadomione talenty w dziedzinie sztuk dla ludu, a one swoimi utworami przygotują lud do zrozumienia arcydzieł naszej literatury.

Nakoniec nie mogę dość usilnie zalecić jak największej staranności o dobrą i bogatą wystawę, gdyż piękne dekoracye i barwne kostyumy będą, przynajmniej zrazu, owym mostem, po którym wejdzie piękno zawarte w samej sztuce do duszy widzów. Niech chodzą z początku tylko dla tego „aby coś zobaczyć“, a raz wszedłszy do teatru, napewne zaczną się interesować grą aktorów i treścią widowiska.

Oto jest szkic do projektu w sprawie utworzenia teatrów ludowych w naszym kraju. W tytule jego leży już usprawiedliwienie licznych zapewne błędów i braków, zwłaszcza co do uzasadnienia wielu twierdzeń, wykraczających nieraz po za utartą już u nas w tym przedmiocie kolej. Podając ten projekt do publicznej wiadomości muszę wszakże wyraźnie zaznaczyć, iż może on mieć tylko i jedynie znaczenie przejściowe. Zamiłowanie do teatru pośród mas naszego ludu znajduje się jeszcze w uśpieniu i należy je dopiero budzić do życia. Teatr, to zupełnie nowa karm dla duszy naszego proletaryatu; zadawajmy mu ją zatem ostrożnie, powoli, a gdy się rozsmakuje, wtedy dopiero przyjdzie czas na specyalne wędrowne teatry ludowe, z dobrze płatnymi zawodowymi aktorami, które znajdą liczną frekwencyę, a w ślad zatem będą potrzebowały niewielkiego tylko poparcia finansowe ze strony kraju. Na razie mowy o tem być nie może.

W.

Z pogadanek o teatrze.

Pierwszą moją myślą za przybyciem do Lwowa było naturalnie: zobaczyć nowy teatr. Czekałem też niecierpliwie kiedy nareszcie leniwa dorożka dowlecze się do rogu ulicy Karola Ludwika, tego wieczystego monumentu lwowskiej lojalności, uwieńczonego u wylotu nietylko gmachem nowego teatru, ale co najważniejsza, kwiatem izraelowych porządków, rozścielającym swe wonie po sympatycznym i z wyglądu i z nazwiska placu Gołuchowskiego. Po drodze zatrzymał moją dorożkę jeden z dobrych znajomych, lwowianin z dziada pradziada, z nieodłącznem „co si stało“ i „moji uszanowani“. Wysiadłem, witamy się, po kilku zamienionych zdaniach zapytuję o teatr.

— „Ta co, wilguć w piwnicy“...

— No, a budowa, urządzenie?...

— „Taże taki przyciągi, że mału człowikowi głowy nie urwi“...

— „Personal, repertuar“?

— „Przyznam si, że jeszczy ni byłem... Mnie si zdaji, że nic szczególnego... Proszy ciebi ot jutru grają sztuke Przybyszewskiego, gdzie jest tylku cztery osoby... Co to za sztuka?... Kto na to pójdzi... My we Lwowi lubimy coś ze śpiewami, wesołego“...

I tak dalej... wiódł mój towarzysz „swoją rzecz“, dając mi do zrozumienia, że udział mi „interwiewu“ co do najnowszego prądu w poglądach artystycznych większości lwowskiej „inteligencyi“.

Tymczasem doszliśmy do teatru... Potężny gmach! Czoło zwrócone ku Wałom hetmańskim poważne i harmonijne... Kobieta z bronzu stojąca na szczycie frontowej fasady ze złotą gałązką palmową, cierpi wprawdzie na rozedmę żołądka, ale skoro w życiu także się nieraz zdarza coś podobnego, przeto „prawda“ nic na tem nie traci. Kopuła nad gmachem przepyszna choć trochę go przygniata; zresztą dużo okien, dużo białości i światła. Stworzył ten gmach prawdziwy artysta; jest myśl jedna, która ogarnia całość, jest idea i natchnienie co przemawia do widza i każe zapomnieć o drobnych usterkach.

Wieczorem tegoż dnia poszedłem na przedstawienie. Wewnątrz biel i purpura; złocenia zlewają się w harmonię łagodnego kolorytu z malowidłem na stropie, z gipsaturami i z freskami na balkonach i łożach, ze światłem lamp elektrycznych rozmieszczonych gęsto w widowni pod królewską opieką wspaniałego, oryginalnego pająka, który sam dla siebie jest rzeczą godną widzenia. Akustyka gmachu znakomita, z każdego miejsca słychać najwyraźniej każde słowo choćby półgłosem wypowiedziane na scenie; tem też głównie przewyższa gmach lwowski naszą świątynię narodowej sztuki.

Prowizoryczna kurtyna (nie Siemiradzkiego) idzie w górę... zaczyna się przedstawienie. Sztuka o czterech tylko osobach... Przybyszewskiego „Dla szczęścia“, rzecz krakowianom już znana. Teatr zaludniony, ale nie pełny; mój lwowianin miał racyę... Do połowy pierwszego aktu trudno słyszeć co mówią na scenie z powodu trzaskania siedzeniami spóźniającej się do teatru dla „dobrego tonu“ inteligencyi... Przytem jesień, czas katarów; każdy nowy gość przygotowuje się do nastroju, krząkając i wycierając głośno nos cierpiący. Bracia lwowianie mają „dobre“ nosy, które jednak łatwo ulegają zatkaniu, z powodu przeciągów tak zwanych, „bankowych“.

Grano sztukę znakomicie — Solski i Siennicka dzierżyli prym; dzielnie dostrajali się Adwentowicz i Bednarzewska. Słuchano sztuki z wielką uwagą, a o ile mogłem zauważyć, prawie połowa widzów rozumiała wszystko. Widziałem kilku radców miejskich, których rzecz tak dalece zainteresowała (mimo czterech tylko osób), że po każdym akcie wybadywali na korytarzu recenzentów i dziennikarzy o treść a właściwie myśl i cel tego, „co dotychczas było“. Autora wywoływano, nie szczędząc oklasków artystom. Krytyka wogóle zabrzmiała na drugi dzień chórem pochwalnym; ciekawym co też było w *„Gazecie narodowej“*, gdzie niedawno jeden z kolegów recenzentów tak „zbeształ“ Słowackiego, że już chyba lwowska dyrekcya nie poważy się wystawiać sztuk tego „autora“.

Na ogół biorąc, inteligencya lwowska o ile nie tęskni do operetki, jest z całem uznaniem dla Pawlikowskiego. Nawet „wątrobiarze“ radzi są z nowego dyrektora który będzie musiał dołożyć do teatru, bo publiczności lwowskiej nie można znowu byle czem zbyć.... W teatrze wre praca; olbrzymi personal dramatu i opery ciągle w próbach któremi w dramacie osobiście kieruje dyrektor; zapowiedziany na najbliższą przyszłość reportoar świadczy, że p. Pawlikowski jak dawniej, i tealnym swoim pojęciom o teatrze daje naczelne miejsce przed wszystkiemi innemi względami. Nastrój jest wysoki — oby tylko został należycie zrozumiany. I opera doskonała. Byłem na Fauście. Znakomity, niesłychanie sympatyczny kapelmistrz opery p. Czelański, Czech, o twarzy natchnionej i błyszczących oczach tchnął widocznie cząstkę swojej artystycznej duszy i w orkiestrę (złożoną przeważnie z Czechów) i w chóry i w solistów, bo wszystko idzie jak z płatka, równo, z zapałem i precyzyą. Tego zaś żeby artyści operowi prócz pięknych głosów mieli także i wygląd inteligentny i jakieś człowiecze nogi w trykotach nie sprawi ani p. Pawlikowski ani p. Czelański i dlatego z tego im zarzutu nie czynię.... Panna Korolewicz była doskonałą, „tęgą“ Małgorzatą; wybornym był akt trzeci, ciche ustronie, urozmaicone koszem kwiatów, który podczas sztuki przyniós na scenę chłopak w liberyi i wręczył go z hotelowym ukłonem Małgorzacie. Na afiszu tego chłopca nie było. Dlaczego artyści operowi po brawach kłaniają się publiczności przykładając prawą rękę do serca nie rozumiem; wszakże i w operze potrzeba dramatycznego nastroju, dzisiaj też śpiewak nie umiejący grać i ruszać się ładnie na scenie, nie może już mieć pretensyi do bezwzględnego uznania.

Widziałem się z naszymi krakowskimi ulubieńcami: wszyscy serdecznie kazali pozdrowić miasto Kraków, przyczem wyrażali radość, że są we Lwowie, gdzie pola do pracy nie brak, wiele się można nauczyć i oddycha się prawdziwie artystyczną atmosferą.

Niejedna też refleksya przemknęła mi przez głowę kiedy porównywałem Lwów z Krakowem co do teatru. Wypisywać tych myśli nie będę.... zwłaszcza, że.... po sobotniej krakowskiej premierze wyszedłem z naszej świątyni sztuki, tak jak wszyscy, naprawdę pokrzepiony na duchu.

Grano „Odrodzenie“ Schöntana i Koppel-Eufelda. Czyżby to miał być symbol niedalekiej przyszłości? Odrodzenie — personalu, reportoaru czy administracyi?...

Wystawiono sztukę stylowo: dekoracye, umeblowanie wszystko nowe, świeże i bardzo ładne.

Rzecz dzieje się w XVI wieku w górach solińskich wśród krajobrazów, pod niebem najpiękniejszem na świecie. Są zorze i słońca, poranne i wieczorne, jest niebo, u zachodu trochę za długo zaczerwienione, co oczywiście nie jest winą nieba, tylko tej lampy która za kulisami czerwone słońce udaje, jest poetyczny nastrój wśród barwnych ścian komnaty starego zamku.

W tym zamku mieszka margrabina di Sansaveli (Siemaszkowa) która po zgonie męża zamknęła się w murach i poświęciła życie modlitwie, krosnom i wychowaniu syna jedynaka. Gośćmi w zamku są najczęściej ojcowie duchowni, mnisi odwiedzający samotnicę, zresztą nikt prócz.... wspomnień młodej, dawno już umarłej miłości, które odpędzić od siebie napróżno usiłuje margrabia. (C. d. n.)

Dr Włodzimierz Lewicki.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

Z początku Andrzej Efimycz zajmował się gorliwie, przyjmował codziennie od rana do południa, robił operacje, nawet w zakres akuszeryi wchodzące. Kobiety mówiły o nim, że nadzwyczajnie szybko uśmierza boleści, zwłaszcza specjalnie kobiece i dziecinne. Z przeciągiem jednak czasu nudziło mu się, gdyż czuł bezużyteczność tej pracy. Dziś przyjdzie 30 chorych, a jutro 35, pojutrze 40 i tak dalej, z dnia na dzień, z roku na rok, a śmiertelność w mieście się nie zmniejsza i chorych nigdy nie brak. Wyleczyć a choćby tylko zbadać w godzinach krótkich przyjęcia 40 — niemożebność fizyczna, znaczy, że mimo woli oszukuje się. Przyjęto w roku (podług rachunków) 12.000 ludzi, znaczy że 12.000 ludzi oszukano. A kłaść do łóżka ludzi ciężko chorych i zajmować się nimi także nie można; chociaż przepis jest ale brak środków. Jeżeli więc zostawiwszy filozofowanie, pedantycznie tylko, jak poprzedni lekarze, wypełniać obowiązki możliwie, to przedewszystkiem potrzeba czystości i wentylacyi, nie brudów; zdrowego jadła a nie barszczu z zepsutej przekwaszonej kapusty i nie złodziei, lecz uczciwych pomocników.

A w końcu dlaczego przeszkadzać ludziom umierać, jeżeli śmierć jest zwyczajnym i nieuniknionym końcem każdego? Cóż z tego, że jakiś tam tragarz. lub urzędnik przeżyje swoje możliwe 50 lat? Jeżeli więc celem medycyny tylko uśmierzać cierpienia, to narzuca się zapytanie, dlaczego uśmierzać? Po pierwsze: jeżeli cierpienie udoskonala człowieka, a powtóre jeżeli ludzkość naprawdę nauczy się unicestwiać swoje cierpienia różnemi pigułkami i kapsułkami, to zupełnie porzuci religję i filozofję, w których to nie tylko obronę od wszystkich bied znajdowała, ale i szczęście.

Puszkin przed śmiercią bardzo cierpiał; biedny Heine kilka lat był sparaliżowany; dla czegoż więc nie ma chorować jakiś tam Andrzej Efimycz, albo Matren Sawiszin, których życie byłoby bezbarwne i puste podobne do życia nikłej muchy, gdyby nie cierpienia?

Tak rozumiejąc Andrzej Efimycz przestał chodzić do szpitala codziennie.

VI.

I tak płynie mu życie.

Zwyczajnie wstaje o ósmej, ubiera się i pije herbatę. Później albo w gabinecie czyta, albo idzie do szpitala. Tam, w wązkim i ciemnym korytarzu siedzą chorzy. oczekujący przyjęcia. Obok nich stukając po ceglanej podłodze obuwiem, przebiegają posługacze i posługaczki, przechodzą wygłodzeni chorzy, przenoszą umarłych i naczynia z nieczystością, płaczą dzieci i wieją niemożliwe przeciągi. Andrzej Efimycz wie dobrze, że dla suchotników i wogóle dla więcej osłabionych takie oczekiwanie męczące; on nic na to nie pomoże. W pokoju przyjęć oczekuje na niego felczer Sergjusz Sergiejewicz, maleńki, tłusty, z ogoloną opuchłą twarzą, o miękkich jakby pływających manjerach, w nowym kostjumie, więcej na senatora wyglądający niż na felczera. W mieście ma ogromną praktykę, nosi biały halsztuk i uważa się za mądrzejszego od doktora, który nie ma obecnie żadnej praktyki. W kącie stoi olbrzymi obraz z ciężką lampką, obok kanapa w białym pokrowcu; na ścianach pogrzeby archirejów, widok Świętogórskiego klasztoru i wianki z zeschłych nieśmiertelników. Sergiej Sergiejewicz jest nabożny i lubi religijne ozdoby. Obraz nawet postawił swoim kosztem. W wielkie święto w izbie tej gromadzą się chorzy, jeden głośno odmawia psalmy, a za nim powtarzają inni, a Sergiej Sergiejewicz przoduje i obchodzi z kadzielnicą wszystkie oddziały.

Chorych dużo, a czasu mało, więc trzeba ograniczyć się tylko pobieżnem badaniem i wydać jakiekolwiek lekarstwo pod postacią rzadkiej maści lub plastra. Andrzej Efimycz siedząc, podpiera brodę i machinalnie zadaje pytania. Felczer także siedzi, zaciera ręcę i od czasu do czasu wtrąca się do rozmowy:

— Chorujemy i cierpimy dlatego, że Bogu źle się modlimy.

W godzinach przyjęć doktór nie robi operacyj; dawno już od nich odwykł i widok krwi rozdrażnia go. Jeżeli przyjdzie dziecku otworzyć buzię, żeby zobaczyć gardło, a maleństwo krzyczy i zasłania się rączkami, to jakiś szum niecierpliwości czy litości rozsadza mu głowę, a w oczach łzy stają. Czem prędzej pisze receptę i macha rękoma aby matka jak najprędzej dziecko wyniosła.

Podczas przyjęcia, gdy mu się znudzi bojaźń chorych i ich bezsensowne wyłuszczenia przeróżnych dolegliwości, gdy mu się znudzi towarzystwo Sergjusza Sergiejewicza, portrety na ścianach i swoje jednostajne pytania, które powtarza już ze dwadzieścia lat, wychodzi przyjąwszy pięciu lub sześciu. Resztę pozostawia felczerowi.

Ze spokojną myślą, że dzięki Bogu osobistej praktyki nie posiada od dawna już, i że mu nikt nie przeszkodzi wraca do domu i niezwłocznie zasiada w swoim gabinecie do czytania. Czyta niezmiernie dużo i z wielkim zajęciem. Połowa dochodów idzie na kupno książek i prenumeratę pism, a w sześciu jego pokojach mieszkania, trzy zarzucone staremi dziennikami i książkami. Najlepiej lubi dzieła historyczne i filozofję; z medycyny prenumeruje „Doktora“ które zwykle zaczyna od końca. Czyta po kilka godzin bez przerwy i zmęczenia. Czyta nie tak prędko jak kiedyś czytywał Jan Dmitricz, ale wolno, zastanawiając się, często zatrzymując się na ustępach piękniejszych lub mniej zrozumiałych. Około książki stoi karafka z wódką, ogórek solony lub pieczone jabłko bez talerzyka. Co pół godziny, nie podnosząc od książki oczów nalewa sobie kieliszek wódki wypija i zagryza. Po jakich trzech godzinach ostrożnie, pokaszlując podchodzi do drzwi kuchennych i mówi:

— Darjuszka, ja może bym co zjadł...

Po dosyć nędznym i brudnym obiedzie doktór spaceruje po pokoju złożywszy na piersiach ręce i rozmyśla. Uderza czwarta godzina, potem piąta a on wciąż chodzi i chodzi. Czasami zaskrzypią drzwi od kuchni i pokazuje się w nich czerwona i zaspana twarz Dariuszki. (C. d. n.)

Tłom. Bronisława Jeremi.

Wojna lub rozbrojenie — konieczność socyalna.

Ciąg dalszy.

W czasie wojny morskiej wszelki ruch handlowy ustać musi na morzu; krzyżowniki i torpedowce staną się nowoczesnymi piratami, których nie uniknie żaden okręt handlowy, nawet należący do neutralnego państwa, gdyż wiele bardzo zależeć będzie stronom walczącym na tem, by przeciwnikowi przerwać wszelką komunikację i w ten sposób odciąć go od reszty świata. Portowe miasta nadbrzeżne muszą zniszczeć, będąc narażone na bombardowanie i pożary. Ekonomista angielski Waraker przepowiada, że w przyszłej wojnie handel Anglii wiele ucierpieć musi, nawet gdyby Anglia pozostała neutralną. Jeden tuzin nowoczesnych krzyżowców może zniszczyć handel każdego państwa a nawet flotą wojenną nie zdoła obronić floty handlowej. Angielski admirał Greigh takie wypowiada zdanie: „Twierdzę stanowczo, że nasza flota wojenna nie będzie mogła dać dostatecznej obrony naszym okrętom handlowym“. Admirał Colombo twierdzi zaś, że byłoby szaleństwem ze strony dowódców okrętów handlowych, puszczać się w drogę nawet pod eskortą. Admirał niemiecki Werner oświadcza, że Niemcy zawikłane w wojnę z Rosyą, gdyby takową rozpoczęły w porze, kiedy zapasy zboża są na wyczerpaniu, musiałyby prosić o pokój zaraz po kilku tygodniach, a już po kilku miesiącach z pewnością, gdyby tylko nieprzyjacielowi udało się odciąć dowóz zboża do Niemiec. Przytem nie należy zapominać, że wielka wojna europejska sprowadziłaby zawikłania we wszystkich państwach kontynentu i narażałaby narody na straszną śmierć głodową.

Ofiary istoty materyalne przyszłej wojny nie dadzą się nawet w przybliżeniu nigdy określić. Choroby zaraźliwe i zdziczenie obyczajów zniszczą więcej ludności, niżeli kule i bagnety, zamięszanie i brak chęci do pracy ogarnie całe masy ludności, gromady żebraków i nędzarzy pokryją kraje — jak szarańcza. Cały ten okrzyczany kulturalny postęp i oświata, w czasie wojennej wrzawy, huku bębnów i grzmotu wystrzałów tych nowoczesnych postępowych barbarzyńców — staną się zerem....

A jaki będzie stan ofiar przyszłej wojny samych żołnierzy? Rany spowodowane kulami z karabinu małego kalibru nie dadzą się również nawet w przybliżeniu opisać. Kula o stalowym pancerzu roztrzaskuje czaszkę ludzką na drobne kawałki, przewraca cały mózg; przerywa naczynia krwionośne, lub wyrywa je zupełnie. Rany od takich kul w jamie brzusznej, wątrobie lub nerkach, powodują straszne boleści i najczęściej są nieuleczalne. W przyszłej wojnie, rannych będzie niezwykle wielka liczba — technika narzędzi wojennych wysila się bowiem nie na to, by przeciwnika uśmiercić, lecz aby tylko uczynić go niezdolnym do dalszej walki — kaleką. Jenerał Haeseler w czasie manewrów cesarskich pod Hamburgiem w roku 1897 powiedział do cesarza: „Jeżeli tak dalej pójdzie (udoskonalenie narzędzi morderczych) to nie będzie można nawet przewidzieć, czy w czasie wojny pozostanie kto na placu boju, by umarłych pogrzebać. Służba sanitarna nie podoła swojemu zadaniu, bo sposób prowadzenia wojny poczynił wielkie postępy, sposób zaś leczenia rannych — „żadnych“. Wszyscy rozumni lekarze na to zdanie zgadzają się. W krótkim przeciągu czasu wszystkie polowe lazarety będą przepełnione rannymi i chorymi a lekarze nie zdołają nawet wszystkich obandażować. Transport chorych z reguły rzeczy musi odbywać się bardzo powoli a ponieważ pole przyszłej wojny będzie obejmowało niezwykle wielką przestrzeń, biorącą nie kilometry, lecz mile, przeto ranni całemi dniami będą leżeć na polu, poza straconymi szańcami; nikt nie będzie w stanie nawet wszystkich odszukać i tak ci biedacy będą musieli dogorywać powoli z pragnienia, z głodu i upływu krwi. O należytej pielęgnacyi chorych ani nawet mowy być nie może, gdyż na tysiące rannych przypadnie zaledwie jeden lekarz, jeżeli nie na więcej. O ileż straszniejsze i przeraźliwsze jęki i narzekania będą na tonących kolosach z żelaza!?

Na nazwę ludzi postępu i oświaty zasługuje się jedynie wówczas, gdy ci ludzie dokładają wszelkich starań w tym kierunku, by duch pokoju, duch pracy i zgody zapanował nad tem krwawem prawem śmierci; gdy ci ludzie usilnie pracują, by całą ludzkość uwolnić od tego strasznego nieszczęścia, jakiem jest wojna.

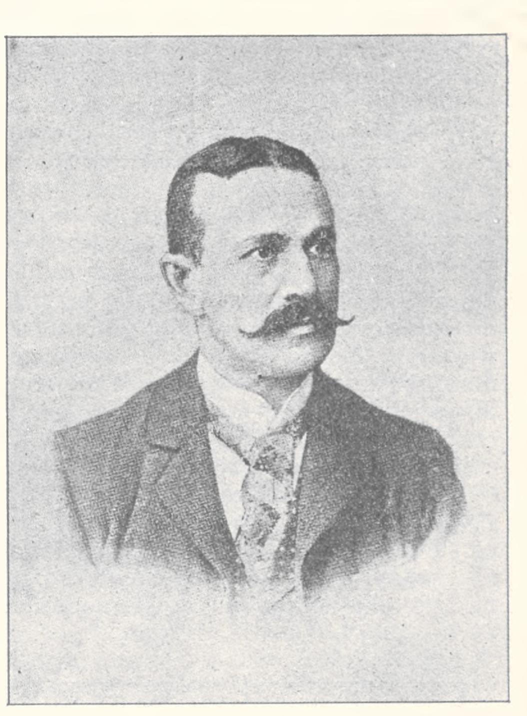
Zastanówmy się teraz nad znaczeniem przyszłej wojny i zbrojnego pokoju pod względem ekonomicznym. W czasie wojny następuje bezwarunkowo zastój w całem gospodarstwie produktywnem, nieprzeliczona liczba sił roboczych w kwiecie wieku wyruszyć musi w pole na spotkanie nieprzyjaciela i przedstawia się w cyfrach jak następuje:

	Stan armii europejskich w czasie wojny	Ludność męska w wieku 20—50 lat
Niemcy .	3.600,000 m.	9.508,000 m.
Austrya .	2.062,000 „	7.583,000 „
Francya .	3.600,000 „	8.013,000 „
Rosya . .	4.556,000 „	22.669,000 „

W przyszłej więc wojnie Niemcy i Austrya będą miały w szeregach wojskowych jedną trzecią część ludności męskiej zdolnej do noszenia broni, Francya prawie połowę a Rosya jedną piątą. W domu pozostaną tylko dzieci, starcy, kaleki, suchotnicy i tuberkuliczni. W takich warunkach musi upaść rolnictwo, bo nie będzie rąk do trzymania pługa, fabryki muszą zamknąć swe bramy i wszelki ruch zastanowić — następstwem czego niebywała drożyzna artykułów spożywczych i zaburzenia wewnętrzne. Nowoczesne gospodarstwo społeczne polega przeważnie na wzajemnej wymianie towarów, żadne bowiem państwo nie produkuje wszystkiego, nie może więc wystarczyć sobie samemu, lecz z natury rzeczy skazane jest na zapotrzebowanie wyrobów krajów sąsiednich, które musi zakupywać i do siebie sprowadzać. W Niemczech ogólna produkcya zboża wystarczy zaledwie na 9 miesięcy, a resztę potrzebną na dalsze 3 miesiące sprowadzać musi z Rosyi i Ameryki. Anglia sprowadza zboża z zagranicy na 274 dni, Francya na 36 dni a Włochy na 75 dni. Cóż dzieje się w czasie wojny? Nieprzyjacielskie okręty wojenne starają się schwycić wszystkie okręty handlowe naładowane zbożem; pancerniki i torpedowce blokują wybrzeża i miasta portowe — ruch handlowy na morzu ustaje zupełnie. Spekulanci na giełdzie zbożowej wyprawiają istne orgie, ryzykowni handlarze żądają bajecznych premij, a w kraju głód i nędza i jej konieczne następstwo — rewolucya. Papiery wartościowe tracą na swojej wartości prawie co godzina, pieniądz kruszcowy znika, banki zamykają swoje kasy, państwo przyparte koniecznością puszcza w obieg w wielkiej ilości pieniądz papierowy, którego nie myśli, ani też nie jest w stanie wykupić; — bankructwo i ogólny krach, oto skutek przyszłej wojny, koniec owej niezrozumiałej i bezcelowej emulacyi o pierwszorzędne państwowe stanowisko w Europie.

(C. d. n.).

Proces Hilsnera w Pisku.



Prokurator państwa Dr Malijowski.

Jang-tse.

Opowiadanie na tle życia kobiet w Chinach.

(Dokończenie).

Nadeszła pierwsza zmiana księżyca w chińskim roku. Wspaniale przybrany dom rodziców Hia-won-tiego oczekiwał na narzeczoną, która tymczasem łkała, tuląc się do matki. Li dobrze wiedziała jaki los czeka biedne jej dziecko w domu Hia-won-tiego i zwracała co chwila błagalny wzrok ku młodej misyonarce, przybyłej, aby uścisnąć po raz ostatni nieszczęsną swoją pupilkę, lecz Edyta była bezsilną. Mimo bólu, który nią targał na samą myśl co czeka Jang-tse w domu męża, nie tylko mogła stawić jakiegokolwiek oporu, lecz nadto była zmuszoną sama namawiać biedną narzeczoną do zajęcia miejsca w palankinie. Wreszcie Jang-tse uspokoiła się nieco pod wpływem Edyty i przez szeregi gości weselnych podeszła ku palankinowi. Szanowni uwarkoczeni goście nie zwracali nawet uwagi na łzy i rozpacz narzeczonej; w Chinach gdzie mąż unosi zwykle gwałtem swoją przyszłą żonę z domu rodzicielskiego, szlochanie, jęki i krzyki należą niejako do ceremoniału, a dziewica, zachowująca spokój w tej tak ważnej chwili, może być okrzyczaną za złe i wyrodne dziecko.

Orszak weselny ruszył z miejsca, a a Tai-tsung, ojciec Jang-tse z prawdziwą rozkoszą liczył różnokolorowe guziki i żółte kaftany zdobiące grono zaproszonych krewnych i przyjaciół. Długość weselnego pochodu jest probierzem miłości i szacunku, jakiem cieszy się dom, wydający córkę za mąż. Lekki wietrzyk muskał pstre upierzenie ptaka Ti, starodawnym obyczajem zawieszonego na palankinie, unosząc zarazem rozdzierający uszy harmider, sprawiany przez weselną muzykę. Za palankinem postępowali słudzy, niosąc czerwone*) kufry z wyprawą i przyjaciele domu z prezentami obwiniętymi w czerwony papier i tak wśród radosnego gwaru, który szarpał nerwy nieszczęsnej Jang-tse, zaszedł orszak weselny przed dom Hia-won-tiego, gdzie pół Pekinu oczekiwało z olbrzymiem zaciekawieniem wybranki bogatego mandaryna.

Tylko sam młody małżonek nie objawiał zbytniej chęci ujrzenia swej młodej małżonki; palankin mieszczący w sobie Jang-tse stał już najmniej jakie pół godziny przed domem, a pana młodego nie było jakoś widać. Dopiero jeden ze służących odkrył go w ogrodzie, gdzie siedział schowany, aby zrobić na złość rodzicom, którzy narzucili mu tę nieznośną Jang-tse, podczas gdy serce jego należało oddawna do pięknej córy Fu-tschiego. Urocza ta córa niebieskiego państwa posiadała stopy węższe od listka lotosu i od dziesięciu lat nie wychodziła za próg rodzinnego domu, podczas gdy Jang-tse po kilka godzin dziennie przesiadywała u tych wstrętnych misyonarek i raz nawet — o zielony smoku! — była widzianą pieszo**) na ulicy!

Wspomnienie o tem musiało towarzyszyć mu na drodze do palankinu,

*) Kolor czerwony jest w Chinach symbolem radości stąd też znachodzi przy weselach szerokie zastosowanie.

**) Taki wypadek może służyć w Chinach za przyczynę rozwodu, gdyż kobietom ze sfer wyższych, wolno pokazywać się na ulicy tylko w zamkniętej lektyce.

gdyż powitał Jang-tse z gniewną, nic dobrego nie zapowiadającą miną. Lekceważącym ruchem wsadził w zamek lektyki klucz, rano jeszcze otrzymany i niezbyt delikatnie wysadził biedną dziewczynę na chodnik obrzucając jej szczupłą, w czerwony płaszcz okutaną postać, wzrokiem pełnym pogardy i lekceważenia.

Młoda para uklęknęła na czerwonych, przed domem rozpostartych dywanach celem ubłagania łaski potężnego boga Tien, lecz Jang-tse nie modliła się wcale; na szczęście Hia-won-tiemu nie przyszło do głowy kontrolować jej pobożność, więc ani potężny Tien, ani też czcigodni przodkowie, nie otrzymali należnej im według chińskich zwyczajów porcyi czci i uwielbienia. Młody małżonek, mrucząc machinalnie modły, myślał sobie, że byłoby daleko lepiej, gdyby w tej chwili stała przy jego boku tamta druga, córka Fu-tschiego, a umysł jego był ciągle zajęty tem, czy Jang-tse kocha go na tyle, aby zadowolnić się stanowiskiem „drugiej żony"? To też w milczeniu zaprowadził drżącą Jang-tse do swego domu, w milczeniu przyjął złożony mu przez żonę hołd przyklęknięcia i tylko z wściekłością zaciął zęby, gdy matka jego podała Jang-tse olbrzymi pęk kluczów na czerwonej poduszce, symbol gospodyni domu. Przepadło, pomyślał, już jest moją małżonką!

Jeszcze chyba żaden małżonek nie podnosił ślubnego welonu swej oblubienicy za pomocą obrzędowej pałeczki — z taką obojętnością, jak to uczynił Hia-won-ti. Przez cały czas uczty weselnej siedział obok Jang-tse nachmurzony, nie odzywając się słowem*), Jang-tse również milczała nie dotykając się nawet przynoszonych potraw, a wzrok jej padał od czasu do czasu na przyległy pokój, goście weselni nie żałowali sobie jadła i napitku, hałasując przytem ile im starczyło; zwłaszcza przy stole kobiecym języki próżnowały tylko wtedy, gdy tłusty ryż lub smakowite jaskółcze gniazdo dawało szczękom dużo roboty.

Służba przystąpiła do młodej pary, aby ofiarować jej obrzędowy napój weselny. Hia-won-ti postawił z pochmurną miną swój kubek na stole, a ręka Jang-tse drżała, gdy podniosła swój do ust, aby resztę pozostałą wlać do kieliszka męża. Ten ledwie umoczył usta w ognistem, złoto żółtem winie i nie patrząc na Jang-tse podsunął jej kubek, aby, jak tego chce obyczaj, spełniła toast weselny napojem zmięszanym z obu pucharów.

Wreszcie przystąpili do młodej pary słudzy z pochodniami, świecąc im przodem do komnaty małżeńskiej.

— Czego się tak wleczesz! — krzyknął Hia-won-ti na idącego przed nim sługę.

Przestraszony tem hajduk odwrócił się nagle i świeca zgasła mu w ręku.

Pisk i jęk przerażenia dał się słyszeć w szeregach gości weselnych, gdyż taki wypadek wróży, wedle pojęć chińskich śmierć.

— Kto też z nich dwojga umrze, mruczeli i szeptali pobladli z przestrachu goście rozchodząc się do domów, kto umrze?

Jang-tse zobaczywszy znak fatalnej wróżby drgnęła jakby przeszyta śmiertelnym ciosem; zrazu myśl jej zwróciła się ku ucieczce, lecz groźny, okrutny niemal zwrok męża, przykuł ją do ziemi. Cała groza i beznadziejność położenia na jakie ją los postawił uprzytomiła się jej w tej chwili. — Była w więzieniu.

Dnia następnego odbyły się w mieszkaniu młodych małżonków fcahowe oględziny Jang-tse, jej sukien, włosów, oczów, nóg i wyprawy, dokonywane z szczególnem zamiłowaniem przez stare kumoszki i całą bandę przyjaciółek jej świekry. Każda miała coś do zganienia a ostre, niedelikatne ich uwagi, szarpanie za suknię przy sprawdzaniu jej ceny i ciągłe paplanie, raziło skołatane nerwy biednej Jang-tse. Wreszcie sama świekra rozpakowawszy kufry z wyprawą, skoczyła jej do oczu na kształt rozjuszonej pantery.

— Trzy razy tyle powinnaś była dostać! Twoi rodzice — oby ich smok czarny pożarł! — schowali w kieszeń połowę pieniędzy, któreśmy im za ciebie zapłacili!

Wrzaskom starej megery akompaniowała zgraja przyjaciółek według najlepszych chęci i sił. Nikt nie słuchał Jang-tse, która ze łzami zapewniała o swej niewinności, każdemu zdawało się, iż jest w prawie wymyślać biednej ofierze ile mu się tylko podobało.

Takie piekło trwało przez trzy dni, w czasie których biedna Jang-tse konała ze wstydu i oburzenia; ileż razy myśli jej uciekały ku cichym murom „stacyi" misyjnej, ile razy wzywała pomocy swojej dobrej opiekunki Edyty Vernon. Ale ona była daleko...

Upłynęło kilka miesięcy, w czasie których Edyta nie słyszała ani słowa o swojej dawnej pupilce, daremnie oczekując na jej przybycie lub jakikolwiek znak życia. Z każdyw dniem poczynała się bardziej niepokoić o los Jang-tse, wiedząc dobrze, iż delikatny umysł biednej wątłej kobiety mógł z łatwością uledz strasznym przejściom, na jakie była wystawiona. Wreszcie, nie mogąc dłużej stawić czoła miotającej nią obawie, wsiadła do palankinu, celem udania się do domu Hia-won-tiego.

W pokoju kobiecym podniosła się od krosien na jej przywitanie jakaś szczupła, zgnębiona postać, w której Edyta poznała ze strachem swoją dawną ulubienicę. Jang-tse widać zapomniała w tem piekle, że istnieją inne uczucia na świecie prócz trwogi, gdyż nawet widok opiekunki wzniecił w jej oczach tylko przebłyski tajonej trwogi. Powitalne słowa Edyty, która ze łzami w oczach dopytywała się o stan zdrowia Jang-tse przeraziły do głębi biedną niewolnicę.

— Przez litość, mów pani ciszej — szepnęła, spoglądając trwożnie ku drzwiom. — Gdyby nas posłyszano!

— Czyżby cię miano za to karać?

— Zbiliby mnie jeszcze gorzej, niż zwyczajnie, — szepnęła Jang-tse. — Ale to jeszcze nic! Codziennie traktują mnie bambusem po plecach, lecz boję się o twoje życie, pani, gdyż wkrótce już ma wybuchnąć rzeź wszystkich „białych dyabłów", jak „oni" was nazywają. Codziennym naradom niema końca. Nie mogę podsłuchać ich planów, bo nie dopuszczają kobiet do tajemnicy, lecz od czasu do czasu chwytam jedno lub drugie słowo, które mój mąż zamienia z Pan-hoei-pan...

— Któż to jest?

Oczy Jang-tse zabłysły gniewem i nienawiścią.

— To demon, dyabeł wcielony — syknęła przez zaciśnięte zęby. — Ona to leje w duszę Hia-won-tiego ten nieszczęsny jad, ona to pragnie, gdy mąż mój zrobił ją swoją „Tsiei" (drugą żoną), doprowadzić mnie do samobójstwa. Wtedy zostanie „główną żoną", a to jest jej celem...

Nagle jakiś krzykliwy, ostry głos zabrzmiał z przyległego pokoju. Jang-tse zerwała się drżąc na całem ciele.

— To świekra woła na mnie — wyszeptała, ubierając się co prędzej w przygotowaną odświętną suknię. — Muszę spieszyć do niej — dodała i skropiwszy się wonnościami*) znikła w drzwiach, z których dochodził głos świekry.

W ruchach jej było widać, iż spieszy jak na ścięcie, a ostatnie spojrzenie, rzucone ku Edycie zawierało w sobie tyle bólu i rozpaczy, że młoda misyonarka omal nie wybuchnęła płaczem.

Jeszcze nigdy opłakany los kobiet chińskich nie wydał się jej tak strasznym, jak teraz, gdy wracając do domu, patrzyła z okien swej lektyki na brudne ulice stolicy „niebieskiego Państwa"...

Wiatr uderzając o trzcinowe ściany domku, w którym mieściła się stacya misyjna, wydawał jakieś głuche, przejmujące jęki. Fale rzeki Pei-ho, wezbrane od długotrwałej słoty pędziły z szumem po równinie, mieszając swój szum z poświstem burzy. Edyta ułożyła już dzieci do snu, lecz jakiś dziwny niepokój odpędzał sen od jej powiek.

Nagle silniejszy powiew wiatru przyniósł ze sobą jakiś głuchy, lecz przenikliwy jęk... Edycie zdało się, że ktoś wzywa pomocy.

W jednej chwili były już wraz z Heleną na werandzie domu, usiłując przebić wzrokiem czarną oponę nocy. Za chwilę drugi krzyk przedarł się przez szum wzburzonych fal Pei-ho, a równocześnie w bladem świetle księżyca, który wyjrzał na chwilę z za chmur, ujrzały misyonarki jakąś postać kobiecą. Dwóch mężczyzn usiłowało ją pociągnąć ją za sobą, lecz nieszczęśliwa broniła się co sił, wzywając pomocy. Przerażone misyonarki poznały w niej — Jang-tse.

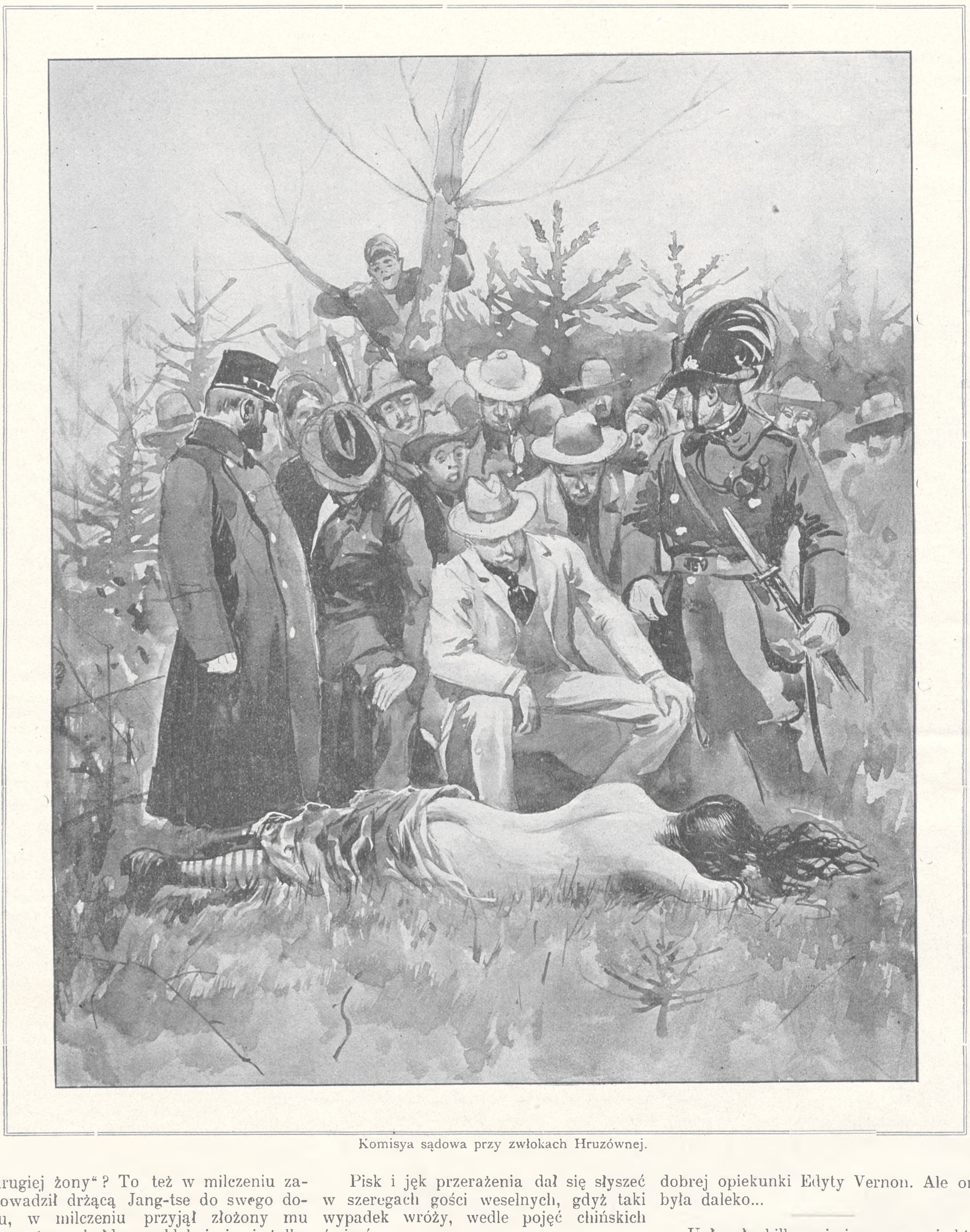
W jednej chwili zbudzono służbę i przy świetle gasnących co chwila pod podmuchem wichru latarni, ruszyły odważne kobiety na pomoc swej dawnej wychowanicy. Ale przez ten czas krzyki poczęły się oddalać ku rzece, więc Edyta wyrwawszy z rąk służącego latarnię, pobiegła co tchu naprzód, rozkazawszy mu poprzednio przynieść co rychlej długą linę. Pędziła na oślep, gnana myślą, że tam może już ginie jej wychowanka pod ciosami morderców. Nagle doszedł jej uszu plusk ciała padającego w wodę.

— Czyś to ty, Jang-tse? — krzyknęła z rozpaczą misyonarka.

— Ratujcie się, uciekajcie dziś jeszcze — zabrzmiał w odpowiedzi głos Jang-tse, przytłumiony szumem wzburzonych fal. — Ratujcie się póki czas!...

W jednej chwili Edyta była już w wodzie i poczęła walczyć z falami. Na szczęście służący z linami byli już w pobliżu i wkrótce Jang-tse, trzymając kurczowo zbawczą linę w zgrabiałych od zimna palcach zbliżała się zwolna do brzegu, gdzie czekała Helena, ale siły biednej ofiary wyczerpały się już zupełnie; lina dotąd sztywnie naprężona, nagle zwisła i fale Pei-ho poniosły w dal nieszczęśliwą wychowankę Edyty. Chwilę jeszcze walczyła z wodą, jeszcze raz krzyknęła: — Uciekajcie! Chciałam was przestrzedz! — i ciało jej zapadło na zawsze w głębie szumiących nurtów.

Proces Hilsnera w Pisku.



Komisya sądowa przy zwłokach Hruzównej.

*) Młoda para spożywa ucztę ślubną w osobnym pokoju.

*) Młoda małżonka, chcąc stanąć przed obliczem świekry, musi wdziać odświętne suknie i skropić się wonnościami.

Edyta stała nad brzegiem nie mogąc oderwać oczu od rzeki, która pochłonęła nieszczęśliwą Jang-tse, lecz hałas dochodzący od strony domu zmusił ją do zwrócenia się w tamtą stronę.

W tej chwili trzcinowy dach stacyi wybuchnął jasnym płomieniem, którego blaski oświetliły gromadę jakichś ludzi, wykonujących dzikie skoki w okół płonącego budynku. Dzikie ich wrzaski górowały nad poświstem burzy i rykiem spienionych fal...

Jang-tse zapóźno ostrzegła przyszłe męczenniczki...

Z literatury pięknej.

„Kraków“ MCM. Księgarnia J. Fiszera. Warszawa. — Książka powyższym tytułem opatrzona i przyozdobiona winietami Stanisława Wyspiańskiego, tworzy rodzaj albumu, mieszczącego w sobie poezye, nowelle i fragmenty dramatów najmłodszych pisarzy naszych, należących do tak zwanej „plejady krakowskiej“. Wydawca zbioru p. Jan Sten (pseudonim) twierdzi w swojem słowie wstępnem, że plejada ta nie jest ani „szkołą literacką“, ani „wielką rodziną, złączoną węzłem pokrewieństwa dusz“, lecz raczej szeregiem „indywidualności i kontrastów“. W istocie krańcowe kontrasty rozdzielają młodych autorów krakowskich, niełącząc ich wcale w grupę artystyczną, świadomą celów literackich, do których dążą. Nawet umiłowanie piękna, charakteryzujące podobno wszystkich, (jak zapewnia edytor i poniekąd komentator nagromadzonych w książce urywków) nie jest w ich pracach jednolitem. Każdy pojmuje je odmiennie; niejeden zaś w pogoni za niem gwałci nieoględnie język, stanowiący narzędzie i pierwszy materyał wszelkiego piśmienniczego dzieła. Tak naprzykład p. Józef Jedlicz torturuje mowę naszą na Madejowem łożu form dziwacznych, niemających nic wspólnego z przyrodzonemi cechami rytmiki polskiej. Nie widzimy w tem indywidualności także, poeta bowiem kopiuje karykaturalnie Pawła Verlaine i Stefana Mallarmé, nieumiejąc — jak oni — obudzić w duszy czytelnika wrażeń i obrazów kolorystycznych. Jan August Kisielewski, niedawno jeszcze przekonany i szczery realista, tonie obecnie w czarnym odmęcie telepatycznych złudzeń, fałszywie przystosowanych do dusz swoich bohaterów. Nazwał część swej „Sonaty“ kompozycyą dramatyczną, chociaż kompozycya (w ścisłem znaczeniu tego wyrazu) nie gra w niej żadnej roli, podporządkowana jest bowiem nastrojowi, wypływającemu nie z ducha i istoty założenia, lecz z efektów światła i mechaniki teatralnej. Nie dostrzegamy w niej również dawnej indywidualności autora, tym razem bowiem niewolniczo naśladuje Maeterlicka. Z jednej sceny „Dramatu“ p. Jana Kleczyńskiego wniosków krytycznych wyciągać nie sposób, nie odsłania on w niej bowiem należycie swego kierunku, styl zaś jego, pozbawiony oryginalności, jest skrajnie, a niekiedy śmiesznie dekadentycznym — tylko w informacyach. Poezye p. Edwarda Leszczyńskiego, ładnie ubrane i kształtne, nie są jednak objawem świeżości myślowej, chociaż blaskiem zewnętrznym zainteresować mogą. To samo niemal daloby się powiedzieć o dobrym wierszyku p. Wacława Lewińskiego. Cztery impresyonistyczne obrazki Z. Niedźwieckiego, jak wszystkie prawie nam znane, błyszczą szczerością rysunku i bogactwem kolorytu. Na wskróś oryginalnym i bardzo pięknym jest wyjątek z wielkiego prawdopodobnie poematu, Władysława Orkana. Wdzięcznie muzykalnemi nazwaćby można filigranowe wiersze Włodzimierza Perzyńskiego, gdyby poeta, wyrażający wrażenia tonami, usprawiedliwiał niedomówienia harmonijniej. Powtarzające się nieustannie brzmienia, jak w malarstwie farby zbyt surowe, nieprzeprowadzone przez gradacyę światła i cieni, tłómaczą fałszywie myśli utworu. „Requiem aeternam“ Stanisława Przybyszewskiego dysze talentem. Zaliczyłbym je może nawet do najlepszych jego poematów prozą, pisanych w języku polskim. Lucyan Rydel dał do zbioru trzy wiersze, szlifowane i cyzelowane wykwintnie. Adam Siedlecki, w urywku noszącym nazwę „Odrodziny ostatniego“, walczy *quasi* satyryczną bronią z ideałem równości i pracy społecznej. Zdaje się nadto przepowiadać zmartwychwstanie wielkich duchów w przyszłości odległej. Nie mamy nic przeciw temu, byleby duchy wskrzeszone nie nudziły tak okropnie, jak ich prorok. Pan Jan Sten, w „Modlitwie Adama“ opracowuje z wysiłkiem wcale nienowy, zmysłowy temat wschodni, ograny na Dawidowych i nie Dawidowych harfach, na Mojżeszowych i nie Mojżeszowych cymbałach. Andrzej Stopka opowiada góralskiem narzeczem jak Gadeja i Jasiek pochwycili żywą kozicę, hen! gdzieś koło Hrubego Regla i leśnikom jej nie oddali. Wasyl Stefanyk maluje prześlicznie śmierć chłopa, nawiedzonego widzeniami. Drobny to ustęp, ale bodaj czy nie najcenniejszy, jaki w książce się mieści. Wieje z niego świeżość, nieskażona literacką ornamentacyą, nieustrojona w przestylizowane łachmany. Lśni jak słońce tęczowemi promieniami szczerości ludowej i prostoty, wzniesionej na poziom sztuki. Gasną przy niem wszystkie świeczki chwały partykularza, płonące pożyczanem światłem. Dwa ładne wiersze Ludwika Szczepańskiego poprzedzają zmanierowaną „Halucynacyę“ Macieja Szukiewicza który nazbyt często blichtrem modernistycznej frazeologii pokrywa brak głębszego odczucia wrażeń ludzkich. Theresity „romans życia niekłamany w niczem“ jest czemś, co doprawdy mogłoby być wstrętnem, gdyby nie wydawało się śmiesznem i smutnem. Na szczęście książka kończy się już znanym „Tytanem“ Kazimierza Tetmajera, fragmentami z „Bolesława Śmiałego“ Stanisława Wyspiańskiego i dwoma wierszami Jerzego Żuławskiego. Jeden z nich poświęcił poeta cieniom Adama Asnyka. Wrażenie ogólne, wywołane przez publikacyę nie jest dodatnie, jakkolwiek znaleźliśmy w zbiorze garść pereł. Niezręcznie zgromadzone i niezręczniej jeszcze nanizane na sznur alfabetycznego porządku, tracą w nieudolnym układzie czar swój i urok.

Z. S.

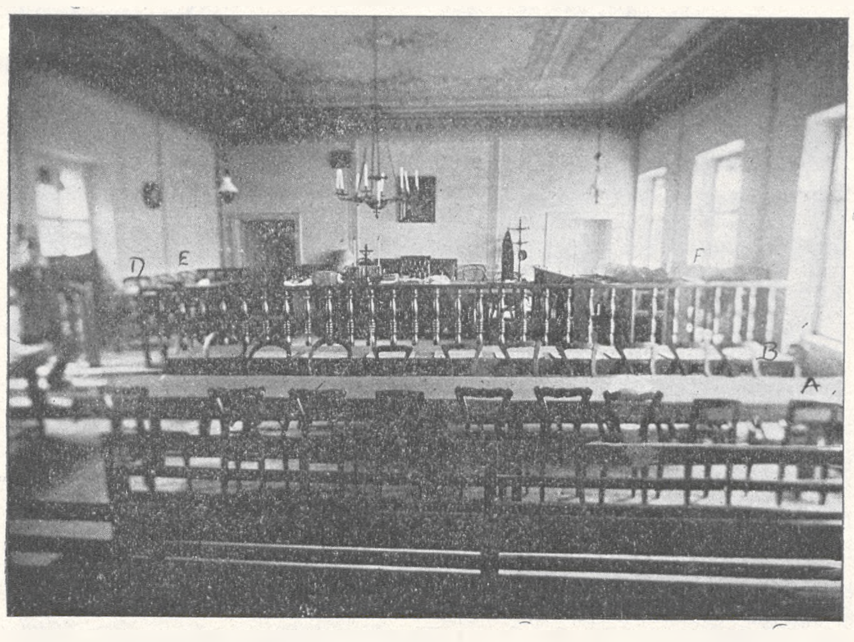
Proces Hilsnera w Pisku.



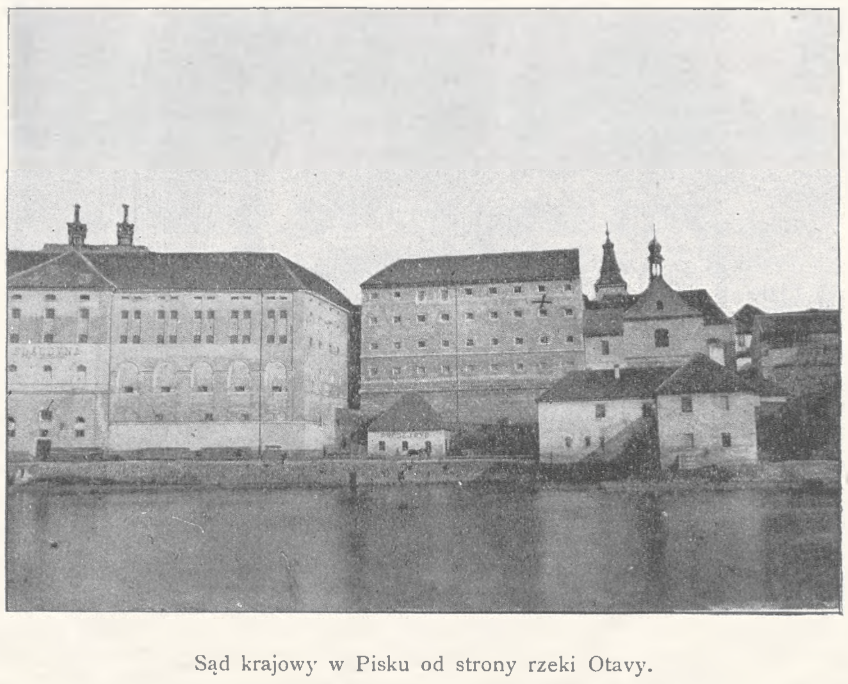
Widok miasta Piska.



Front sądu krajowego w Pisku.



Sala rozpraw w sądzie krajowym w Pisku



Sąd krajowy w Pisku od strony rzeki Otavy.

Sołowiew i Urussow.

Kilka szczegółów z życia.

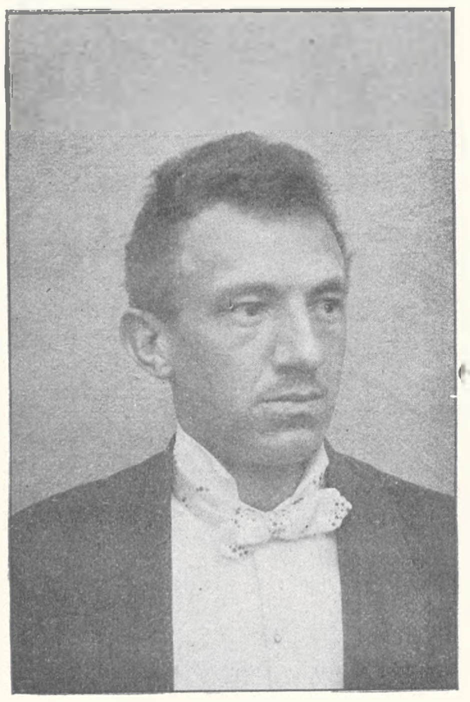
W jednym i tymsamym miesiącu śmierć wydarła Rosyi dwie niezwykłe i wielce oryginalne osobistości, postawione pod każdym względem na wprost przeciwnych biegunach, które niezatartymi ślady wryły się w pamięć współczesnych. Jeden z nich to głęboko myślący filozof i mistyk, drugi to książe, trudniący się adwokaturą; jeden asceta ciągle podróżujący i piszący, drugi światowiec, obaj wolnomyślni, postępowi, wolni od przesądów i uprzedzeń.

Włodzimierz Sergiejewicz Sołowiew był bądź co bądź jedną z najwybitniejszych postaci współczesnych. Mało kto potrafił jak on zająć swą osobistością ludzi, wprawić ich w zdziwienie, oburzyć przeciw sobie, lub też pozyskać całkowitą ich sympatyę. Wysmukły, chudy, z lekko posiwiałym włosem, gęstemi brwiami, z wspaniałemi oczyma proroka i gęstą, ciemną brodą wyglądał raczej na patryarchę niż na nowożytnego filozofa. Górna część jego twarzy była niemal idealna, prześliczna, natomiast usta jak w ogóle u Rosyan, wywodzących swój ród od Mongołów i Tatarów, szkaradne. W ogóle w istocie jego uderzała dziwna dysharmonia: Głos silny, poważny, natomiast śmiech dziecinny, piskliwy; oczy rozumne, bystre, pełne zapału, a usta zmysłowe, prawie zwierzęce. Pół mędrca, pół dziecka.

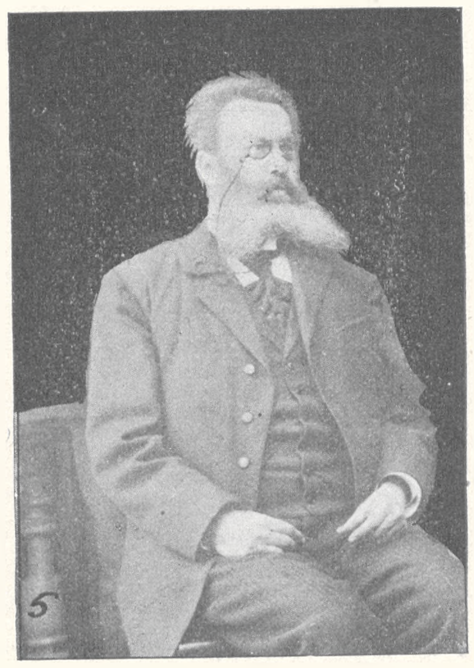
Sołowiew był synem najgłośniejszego z nowszych historyków rosyjskich i bardzo młodo został profesorem uniwersytetu w Petersburgu. Studya jednak jego skierowały się wnet ku dziedzinie teologiczno-mistycznej, a wykłady zaczynały coraz bardziej tchnąć duchem anty-prawosławnym. Gorliwy o czystość religii rząd rosyjski pozbawił go posady, znalazło się jednak wiele osób i to z najwyższych sfer, które ofiarowały Sołowiewowi swe salony na odczyty i wykłady. Rząd dowiedział się o tem i pospieszył z wydaleniem mistrza ze stolicy.

Odtąd zaczyna się epoka koczownicza w życiu filozofa-mistyka. Od 32-go roku życia aż do swej śmierci nie miał Sołowiew ani swego domu, ani zakątka rodzinnego, ani stałego miejsca pobytu; życie strawił na podróżach, siedząc i pisząc całymi miesiącami w pokoiku hotelowym albo u jakiego przyjaciela w Rosyi lub Francyi. Nieraz pracował po całych nocach, a obiad jadał o godzinie 10 w nocy. Ciągle był w drodze, nie wioząc ze sobą nigdy ani ubrań, ani bielizny, choć lubił ubierać się czysto i przyzwoicie. Skoro jeden garnitur mu się podniszczył, kupował drugi. Przyjaciele jego nie wiedzieli nigdy, gdzie przebywa. Jeśli zapowiedział swój przyjazd, to przybywał zwykle o cały

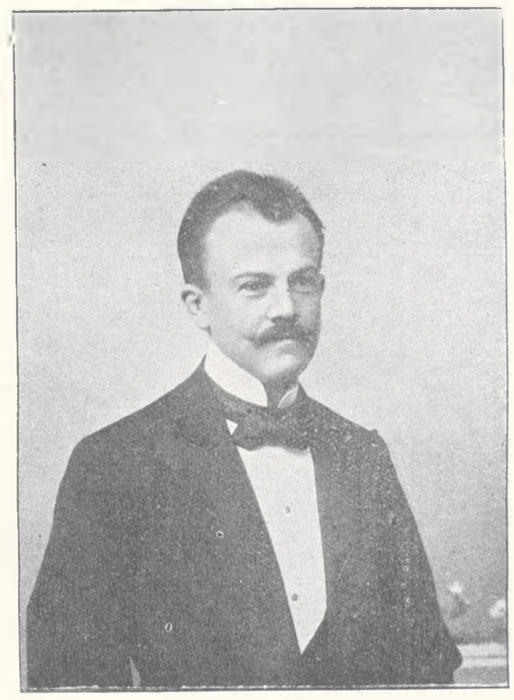
Proces Hilsnera w Pisku.



Wacław Strouhal,
c. k. auskultant, I. sekretarz.



Otokar Winter,
c. k. prezydent krajowego sądu, przewodniczący.



Miloš Vačlena,
c. k. auskultant, II. sekretarz.

miesiąc później. Jeśli oczekiwano go pociągiem błyskawicznym, to przyjeżdzał mięszanym. Nie pokazawszy się u którego z przyjaciół przez lat pięć, nagle zjawiał się o godzinie jedenastej w nocy, siadał, rozmawiał, jak gdyby widywali się codziennie, a jeśli było dla niego miejsce, to pozostawał i kilka tygodni. Za drobną usługę rzucał pięciorublówkę, zapraszał do szampana kilkunastu napół obcych ludzi, a potem musiał pisać artykuły do dzienników, żeby módz kupić bilet do następnej stacyi.

Znał on wszystkie języki europejskie i dwa azyatyckie, znał kabałę arabską również dobrze jak Kanta. Długi czas był Sołowiew na tyle naiwnym, że ulegał wpływowi głośnej spirytystki, pani Bławackiej i wierzył w jej marną teozofię. Żył w jej pobliżu i z głęboką wiarą patrzył na cuda, dokonywane przy pomocy rzekomych duchów, aż pewnego dnia zauważył, jak z bocznej szufladki wyciągała list, który miała w powietrzu otrzymać z rąk duchów. Fakt ten obruszył go do żywego i wnet potem ukazała się cięta broszura, w której Sołowiew zdemaskował oszustkę, wystawiając ją na publiczne urągowisko. Pisał z równą łatwością po francusku jak po rosyjsku.

Było coś czystego prerafaelitycznego w jego duszy, co zjednywało mu licznych i wiernych zwolenników. Dwóch jego uczniów zajmuje obecnie posady profesorów na uniwersytecie w Moskwie. Zachowanie się ich w obec mistrza graniczyło z ubóstwieniem.

Znakomity znawca stosunków rosyjskich, Anatol Leroy-Beaulieu, wyrażał się zawsze o Sołowiewie w słowach pełnych podziwu i najgłębszego szacunku. Zachwycony był poprostu głęboką wiedzą i samodzielnością sądu znakomitego myśliciela, Bo też w rzeczywistości wolnomyślność i śmiałe zapatrywania jego odbijały świetnie na tle rosyjskiego obskurantyzmu. Dyletanci nie znajdowali u Sołowiewa żadnego pobłażania, nikogo nie chłostał on tak ostro jak Renana i neo-chrześcian francuskich w guście Desjardinsa lub Vogue'go. Również nieuctwo Tołstoja było niewyczerpanym przedmiotem szyderstw i drwin dla tak znakomitego teologa, jakim bezsprzecznie był Sołowiew. Obaj mężowie obcowali ze sobą często i Sołowiew poznał na wylot duszę autora „Zmartwychwstania“.

Zupełnie inaczej przedstawia się sylwetka Urussowa. Aleksander Iwanicz Urussow był księciem, w którego krwi płynęła krew tatarska; piękny, elegancki, o silnym zaroście, wyglądający nawet w poważnym wieku na młodzieńca. W oczach jego było coś hipnotyzującego, to też wpływ księcia na kobiety był niesłychany. Mało z nich opierało się rosyjskiemu Apollinowi, jeśli zadał sobie na tyle trudu, by starać się o łaskawe względy, a przyznać trzeba, że zdarzało się to aż nazbyt często.

Bogate wyposażenie artystyczne nie zrobiło z niego artysty, tylko dyletanta na polu sztuki. Znakomity mowca, zachwycał wszystkich elegancją, pewną tajemniczością i porywającem uczuciem.

Rosja umiała zgiąć młodzieńczy jego kark, tak jak zresztą robi to ona wszystkim niezależnie myślącym ludziom. Gdzieś za granicą zdarzyło się Urussowowi, że wypowiedział w małem kółku polityczną mowę w duchu postępowym — zaraz pociągnięto go do odpowiedzialności i skazano na stały pobyt w Estonii, w marnej wioszczynie. Przez lat dwanaście rząd trzymał tam na uwięzi młodego Aleksandra, rwącego się do czynu, żądnego towarzystwa, zabawy i jakiejkolwiek pracy. Zrozpaczone książątko porzuciło już wszelką nadzieję, ożeniło się z wiejską dziewczyną, piękną i szlachetną, ale umysłowo tak nisko stojącą, że później nigdy nie przedstawiał jej za swą żonę. Żyła w swej rodzinnej wiosce, wychowując syna.

Powrócił do Petersburga, piękny, wytworny, że nikt nie byłby nawet przypuszczał, skąd młody książe wraca i jak bolesną ma już za sobą przeszłość. Rozumie się, że powietrze estońskie wykurowało go gruntownie z polityki i liberalizmu. Rząd dał mu urząd prokuratora, zmuszając go w ten sposób bronić mimo woli przestarzałych zapatrywań i ustaw. Na tej posadzie ostygły zupełnie resztki dawnego zapału księcia w kwestyi socjalnej i państwowej, stał się powoli zupełnym materjalistą w sądzeniu rzeczy materjalnych.

W sztuce trzymał się teorematu: sztuka dla sztuki, w życiu zaś podobnego hasła: życie dla użycia. Z biegiem czasu opanowała go mania zbierania rzadkich książek, manuskryptów, rzeźb i... kobiet. Do tych ostatnich stósował szczególną metodę wychowawczą tak, że on bardziej mógł liczyć na nie niż one na niego. Paliły jego listy, ponieważ sobie tego życzył, ale kopiowały je poprzednio i uczyły się ich na pamięć. Uczył je, żeby wykorzeniały w sobie wszelki zarodek uczucia jako prognostyk nieszczęścia, ale nie były w stanie tego dokonać. Natomiast można było szybko poznać w rosyjskich kołach towarzyskich piękne panie, na których życie wywarł wpływ Urussow, po wspólnych rysach duchowych i wspólnych upodobaniach.

Urussow ponad wszystkich literatów cenił najwyżej Flauberta, zbierał wszystkie wydania jego dzieł i bezustannie wpatrywał się w jego liczne portrety, rozmieszczone w swoich pokojach. Wiele dam podzielało ten kult Urussowa dla Flauberta i Goncourtów. Jeśli książe zbierał bronzy, to dama zbierała terrakoty, jeśli posiadał manuskrypty sławnych mężów, dama zbierała skwapliwie manuskrypty sławnych kobiet.

Między pisarzami rosyjskimi Urussow cenił i protegował szczególnie poetę Andrejewskiego, dekadenta-symbolistę, który imponował mu wyrażeniami jak „włosy jej były młode i świeże“ i pomysłem przystrojenia w rymy jednej nowelki Turgeniewa. Bardzo także pokochał Huysmansa i co roku, podczas swego pobytu w Paryżu, składał mu przyjacielską wizytę.

Zdawałoby się, że między Sołowiewem a Urussowem nie mogło być nic wspólnego. A jednak węzeł taki istnieje. Jedna i tasama kobieta była ideałem dla obojga. Sołowiew poznał ją wcześniej, kiedy jeszcze była młodziutką dziewczyną i pokochał ją prawdziwie romantyczną miłością. Zanim wyszła za mąż, jeździł za nią wszędzie, dokądkolwiek udawała się ze swym ojcem. Kiedy podczas turystycznej wycieczki złamał nogę, kazał się zanieść najpierw do jej domu, a dopiero potem do lekarza. I później jeszcze, choć już była zamężną, hipnotyzowała jeszcze ciągle genialnego myśliciela, który nieraz cały miesiąc spędzał w Krymie lub w Finlandyi, byle tylko być w jej pobliżu.

Urussow potrafił zdobyć jej serce i przykuć ją do siebie, ale po roku zerwała więzy i odtąd wszelkie zakusy księcia rozbijały się o jej dumny upór. Urussowowi imponowała towarzyskiemi zaletami, Sołowiewowi wyższym umysłem. Obecnie śmierć pozbawiła ją dwóch wielbicieli a Rosyę dwóch wybitnych osobistości.

G. Br.

Proces Hilsnera w Pisku.



Miejsce, gdzie Agnieszka Hruzówna została zamordowała.

Cygarniczka.

Humoreska z rosyjskiego.

Nie małą sensacyę wzbudził między wszystkimi kolegami w biurze kancelista Piotr Sergiejewicz Palczykow, wyjąwszy pewnego dnia bursztynową cygarniczkę z kieszeni. Zdziwienie biurokracyi było tem większe, że zdarzenie owo miało miejsce przy końcu miesiąca.

Cygarniczka była dość duża; okuta srebrem, prezentowała się wspaniale. Piotr Sergiejewicz wyjął ją z uroczystą miną wobec osłupiałych ze zdziwienia współpracowników, zamknął atłasem wytkane etui, założył papierosa i zapalił. Wśród ogólnego milczenia i napięcia uwagi zaciągnął się potężnie i wypuścił dym nosem udając, że w ten sposób zabić chce chwilkę czasu aż do wyschnięcia zapisanej stronnicy.

Ze wszech stron posypały się ciekawe pytania. — Czysty bursztyn — oświadczył Palczykow, — kosztuje pięć rubelków w srebrze.

Kilka dwunożnych maszyn do pisania zazgrzytało z zazdrości. Szczególnie jednak pobladł i zmartwił się przyjaciel i kolega Palczykowa, kancelista Iwan Iwanowicz Jagodyn. Dodać trzeba, że Jagodyn i Palczyków, aczkolwiek w zażyłej pozostawali przyjaźni, na każdym punkcie rywalizowali ze sobą. Współzawodnictwo to, niewinne zresztą, dochodziło do absurdu w dziedzinie toalety. Ledwo Palczykow pojawił się w świeżej kamizelce, już Jagodyn kupował jasne spodnie; jeżeli natomiast Jagodyn sprokurował sobie szpilkę do krawatu, na drugi dzień Palczykow popisywał się błyskotliwą dewizką od zegarka. Rywalizacya trwała bez ustanku, nakładając na zaciętych współzawodników twarde nieraz ofiary.

Łatwo więc pojąć, że nowa, podstępnie bo w krytycznym czasie zakupiona cygarnica Palczykowa wbiła się jakby zatrutym sztyletem w mózg i serce Jagodyna. — Piękniejszej już chyba nie znajdę, a choćby i była, to zapewne będzie kosztować bajecznie grubo — desperował w myśli Jagodyn, rzucając w stronę przyjaciela bazyliszkowe spojrzenie.

Nawet Mikołaj Gorłow, naczelnik kancelaryi wygramolił się ze swego fotelu, gdzie pogrążony był w prozaicznej drzemce, oglądnął cygarniczkę i dodał tonem

znawcy: — Wcale niebrzydka, ale te z pianki morskiej prezentują się o wiele lepiej i obecnie są w modzie.

— Naprawdę, Mikołaju Gorłowie? Jesteś pan zdania, że cygarnice z pianki morskiej są wytworniejsze i modniejsze niż bursztynowe?

— Całkiem naturalnie, modniejsze i tańsze! I do tego mają tę dobrą stronę, że im starsze, tem większą mają wartość.

Jagodyn odetchnął.

— A jak dużo czasu potrzeba, aby cygarniczka była „okurzona“? — zapytał ciekawie.

— Zwykle daje się ją jakiemu sołdatowi do zadymienia, kosztuje to pół rubla, a za miesiąc jest czarna jak węgiel.

Palczykowa irytowała ta rozmowa, mająca na celu zdeprecyonowanie bursztynu i bursztynowych cygarnic. — Ja tego nie rozumiem, — mruknął, kładąc potężnego żyda na papierze. — Dlaczegoż zadymiona cygarnica z pianki morskiej miałaby mieć wyższy kurs od zadymionej bursztynówki albo gipsówki?

— Bo smak dymu przez to się zmienia, mój kochany nowicyuszu od papierosów — odparł zgryźliwie szef biura. — Prócz tego przez „okurzenie“ cygarniczka twardnieje na kamień i chyba młotem potrafiłbyś ją rozbić.

Jagodyn tryumfował.

— Jeśli się chce mieć twardą i wytrzymałą cygarnicę bursztynową, to trzeba wyrzucić za nią nie pięć, ale pięćdziesiąt rubelków. Spróbuj pan, Palczykowie i rzuć swoją o ziemię!

Palczykow naturalnie wzdrygał się przed tym eksperymentem łamliwości bursztynu, dla bezpieczeństwa więc włożył swoje cacko do etui. schował je do bocznej kieszeni i zapiął starannie surdut.

— Niech kosztuje co chce, ale muszę mieć cybuszek z pianki. — powiedział sobie zaraz Jagodyn. — Przez tydzień nie pójdę do restauracyi i basta!

Kiedy wieczorem kancelarya niemal się już opróżniła, Jagodyn przystąpił do naczelnika: — Gdzie mógłbym tanio kupić dobrą cygarniczkę z pianki morskiej?

— A ileż pan mógłbyś na nią wydać?

— No, mniej więcej trzy ruble.

— Chodź pan ze mną, ja się na tem rozumiem, kupimy coś okazałego.

— Będę panu bardzo wdzięczny.

Poszli do składu tytoniów i po długiem wahaniu się i przebieraniu rekwizytów papierowych wytargowali wreszcie cygarniczkę z pianki morskiej za 3 ruble 50 kop.

— Co mi to szkodzi, że dwa dni dłużej będę pościł!

Cygarnica miała delikatne blado-żółte zabarwienie, zaopatrzona była w bursztynowy munsztuk i spoczywała w wytwornem, aksamitnem etui. Jagodyn podziękował serdecznie naczelnikowi za łaskawą pomoc i poszedł ze swym skarbem do domu. — No, jeszcze pół rubla za „okurzenie“! Trzeba będzie żyć serdelkami i herbatą... ale to bagatela!

Na drugi dzień zaprezentował kolegom nowy nabytek. Jednogłośnie wyrażono zachwyt nad szczęśliwym wyborem i elegancyą cygarniczki.

— Dość ładna — rzekł Palczykow — ale o wiele tańsza od mojej!

— Ale wnet nabierze wartości! — krzyknął Jagodyn.

— Kiedyż to, jeśli można wiedzieć? — zapytał szyderczo antagonista.

— Wkrótce zobaczysz! — zakończył zirytowany Jagodyn. Zaraz popołudniu wyszukał jakiegoś kałmuka od piechoty i wraz z półrublówką oddał mu cygarnicę.

— Za trzy tygodnie będzie czarna jak smoła lub sam dyabeł! — zapewniał syn Marsa.

— Niech pan dołoży starań!

— Zrobię wszystko, co w moich siłach będzie.

Jagodyn musiał czekać. Dni upływały mu strasznie powoli. Całe szczęście, że Palczyków, wydawszy wszystkie pieniądze na bursztynówkę, nie mógł tymczasem robić nowych zakupów i pogromić znowu swego kolegę. Byłaby to straszna klęska, bo i tak Jagodynowi dawał się głód dobrze we znaki.

Po trzech tygodniach przyszedł żołnierz i przyniósł cygarnicę. Czerwony aksamit w etui był całkiem brudny, zato pianka nabrała ładnego odcienia ciemno-brunatnego.

Jagodyn o mało nie oszalał z zachwytu. Całą noc nie zmrużył oka, tylko w duchu odgrażał się Palczykowi. Wreszcie nadeszła godzina 8-ma. Zaledwie wszedł do biura, zaraz z tryumfującą miną wyciągnął cygarnicę z kieszeni. Okrzyk podziwu wydarł się z gardzieli biurokracyi.

— To, to jest cygarniczka co się zowie — wyrzekł sentencyonalnie Gorłow, zabierając się do spoczynku w fotelu.

Jagodyn rozpływał się z rozkoszy. Palczykow zbladł spostrzegłszy, że chwiejni i nie utwierdzeni na duchu koledzy badają z ciekawością i zdumieniem nowy fenomen na horyzoncie kancelaryjnym.

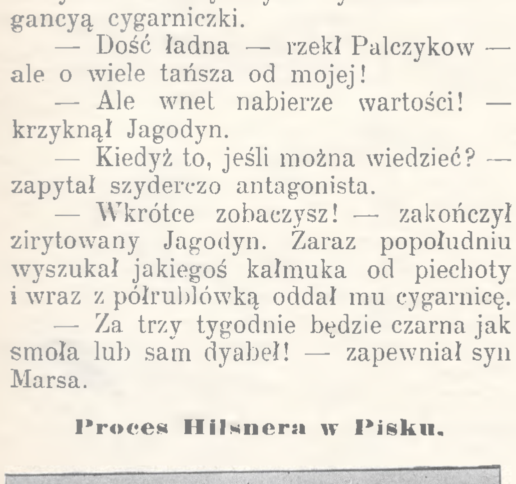
— Wspaniała, bardzo gustowna — mruczał gryząc wąsa — ale... rzuć ją na ziemię!

Z zupełnem zaufaniem Jagodyn upuścił na podłogę swoje cacko. Trzask... i z cygarniczki pozostały tylko drobne kawałeczki.

— Jeszcze nie była dobrze „okurzona“ — zadecydował Gorłow i odszedł. Jagodynowi stanęły łzy w oczach. Za to Palczykow z promiennym uśmiechem dobył z kieszeni swoją bursztynówkę, nasadził papierosa i palił. Zaciągnął się potężnie i wypuścił dym nosem, udając, że w ten sposób zabić chce chwilkę czasu przed wyschnięciem zapisanej stronnicy...

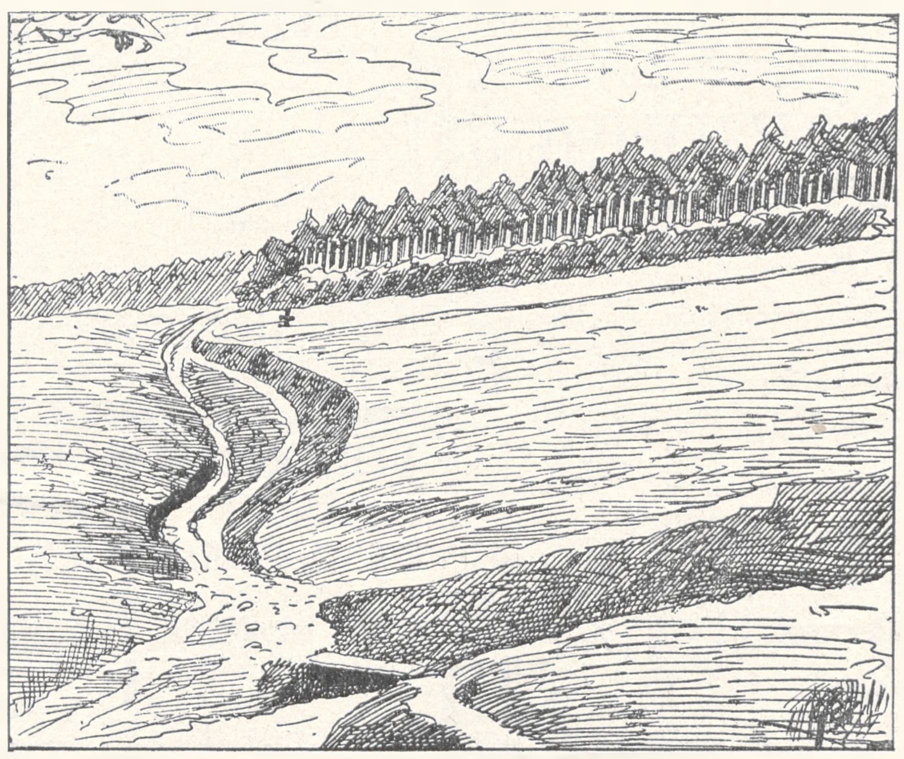
Godzina upłynęła... oczy Jagodyna były jeszcze wilgotne...

Proces Hilsnera w Pisku.



Alojzy Slawata, włamywacz, współwięzień Hilsnera, który nadaremnie usiłował dokonać ucieczki.

Proces Hilsnera w Pisku.



Lasek Brzezina w Polnej. (Gdzie krzyżyk, tam została A. Hruzówna zabitą).

Proces Hilsnera w Pisku.



Dr Wiktor Wodiczka, drugi obrońca Hilsnera.

Nasze ryciny.

Śmiało rzec można, iż oczy całego cywilizowanego świata są dziś obrócone na Pisek, małą mieścinę czeską, gdzie rozgrywa się ostatni już prawdopodobnie akt krwawej a tajemniczej tragedyi, której widownią była Polna. Dzisiejszy numer przynosi oprócz wizerunku nieszczęśliwej ofiary mordu, Agnieszki Hruzówny, cały szereg rycin, stojących w związku z tą głośną i sensacyjną sprawą.

Więc naprzód podajemy czytelnikom grupę ludzi zgromadzonych do około zwłok Agnieszki Hruzówny. To komisya sądowo-lekarska bada miejsce na którem znaleziono ofiarę; z dwóch rycin przedstawiających lasek brzezinowy koło Polnej i samo miejsce zamordowania Hruzównej, można nabrać pojęcia o wyglądzie miejsc, które były widownią ohydnej zbrodni. Ogólny widok Piska, tamtejszy sąd krajowy karny od strony rzeki Otawy, front tegoż sądu z oknami sali rozpraw na drugiem piętrze i wnętrze sali, w której ważą się obecnie losy Hilsnera, stanowią szereg rycin, przedstawiających cichą nieznaną dotąd mieścinę, której unię znalazło się dzięki procesowi Hilsnera na ustach całego niemal świata.

Z osób biorących udział bezpośredni w rozprawie, znajdą czytelnicy prokuratora Malijowskiego, który świetnym aktem oskarżenia w sprawie Klimównej, drugiej domniemanej ofiary Hilsnera, zjednał sobie niemały rozgłos w czeskich sferach prawniczych, dra Vodičkę, drugiego obrońcę Hilsnera, Ottokara Wintera prezydenta sądu krajowego w Pisku, przewodniezącego toczącej się rozprawie, Wacława Strouhala, auskultanta sądowego, który jest pierwszym protokolantem i Miłosza Vačlenę również auskultanta, który pełni urząd drugiego protokolanta. Alojzy Slavata, którego podobizna znalazła również pomieszczenie w dzisiejszym numerze, zawdzięcza zdobytą przez się ostatnio, dość wątpliwą sławę, temu, iż siedząc w jednej celi z Hilsnerem usiłował, na krótko przed zaczęciem się obecnej rozprawy uciec z więzienia, a władze mają powody do przypuszczania, że cały ten plan niebył Hilsnerowi tak obcy, jak on sam utrzymuje.

Właystymir.

LISTKI PIOŁUNU.

1. Sędziowie.

Jeden był łysy i stary
a mówił głośno i wiele;
drugi choć młody i jary
zwykł zawsze milczeć nieśmiele;
trzeci paragraf chodzący:
wszystko rozważnie, pomału —
czwarty na nerki cierpiący;
takim był skład trybunału!

Kiedy się zeszli, by sądzić,
łysy zagajał rozmowę:
„Jak można w „wincie“ pobłądzić
„lub stracić przy „maczku“ głowę?“
„paragraf“ ponurym głosem
karne teorye wywlekał:
a w sali, drżąc przed swym losem,
podsądny rozprawy czekał.

Czekał przydługą godzinę
nareszcie idą sędziowie...
posępną każdy ma minę
i czarny biret na głowie.

„Przyznajesz?... woła łysy
(on był sądu prezesem)
„krótko, żadne opisy
„bo się zgubisz z kretesem!!“

W tem powstaje obrońca —
gaduła obrzydliwy
będzie męczył bez końca..,
trybunał niecierpliwy
wszakże obiad za pasem...
„Co za praca, strach boski,
„może przerwać tymczasem...
„dla Boga... nowe wnioski“.

Wreszcie po długiej męce,
w ciągu której „nerkowy“
pod stół wciąż chował ręce,
inni, zwieszali głowy
i oczy zamykali —
wszyscy czterej powstali
i poszli na naradę...

Tu rozpoczęli zwadę:
„Kto w mieście najgodniejszy
na burmistrzowskie krzesło?“
Łysy, (ów najmądrzejszy)
głosuje za proboszczem:
„paragraf“ ustaw ostrzem
broni praw aptekarza;
„nieśmiały“ potakuje
po części każdej stronie;
„nerkowy“ ufa żonie
a żona agituje,
aby na okres nowy
wybranym został tylko
męża lekarz domowy.

Wreszcie przypominają,
że wyrok wydać mają.
„Rok więzienia — cóż zgoda?“
woła „łysy“. — Niech będzie...
„ach. prędzej. czasu szkoda,
„miejmyż obiad na względzie“.

Wychodzą. Wyrok czyta
sam „łysy“: „Jest niezbita
wina — długie badania
i sumienne rozprawy,
dostarczyły sądowi
pewnego przekonania“.

2. Poeta.

Odkąd wiersz palnął okolicznościowy,
na zaślubiny swojej ciotki — wdowy,
poklaskiem gości ślubnych zachęcony
uczuł moc ducha w sobie i natchniony,
wpłynąwszy śmiało na przestworza szer-
[sze,
już z „powołania“ zaczął pisać wiersze.
Wuj redaktorem był a stryj krytykiem,
a brat cioteczny sędzią konkursowym;
ci się zajęli genialnym chłopczykiem:
redaktor wiersze drukiem petitowym
najpierw drukował, stryj krytyk podnosił
doniosłość rymów, no a dla dramatu,
kuzyn nagrodę u sędziów wyprosił.

Odtąd wie naród, że poetę dostał
talent przyszłości, słońce na Parnasie,
któremu dotąd mało który sprostał.
a „on“ współczesnych zgasił w krót-
[kim czasie.

Bądź dumnym ludu — geniusze się tworzą,
z potęgi natchnień, samą mocą bożą
niespodziewanie — oto feniks nowy,
powstał ze zgliszczów spadku ciotki —
[wdowy.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach" z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie" i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach".

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze 19/24 ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.* Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**